



TEOFIL SZUMSKI.



VICTORIA!

Powieść.



ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.



257348

P r o l o g.

Gdziekolwiek kojarzy się para kochanków, tam języki przyjaciół i nieprzyjaciół mają pracy nie mało.

Dla jednych zajęcie to losem czyimś, jest miłą rozrywką, dla innych zaspokojeniem złościwości.

W świecie dzisiejszym łączą ludzie zwykle narzeczonego z narzeczoną, a bywa to wtedy, gdy ani mężczyzna nie pragnie kobiety, ani ona mężczyzny tego, z którym zawrzeć ma umowę życia wspólnego i umocnić ten sojusz przysięgą.

W okolicy, o której ma być mowa, łączyli się kochankowie, bo on pragnął tylko jej, ona jego, czyli kochali się nawzajem. Pokochali się zaś, nie wiedząc jeszcze z doświadczenia, czy dusze ich są szlachetne, umysły podniosłe. Nie mieli jeszcze czasu zbadać głębi swoich umysłów; ale czuli, że kochają to, co jest ziemskie.

Zdawali sobie najpierw sprawę z tego, że im dobrze, kiedy są razem, a czegoś im brakowało, skoro żegnali się na dni kilka.

Miłość ta rozpoczęła się na wsi, ale nie tam, gdzie mieszkała ona i nie w tej wsi, której panem był kochanek.

Ona nazywała się Jadwiga i przebywała na wsi u ludzi prawie obcych, u dalekiej krewnej. W tej wsi, nazwanej Horody, właścicielką była wdowa, pani Horodziejowa, a później syn jej Andrzej. U pani Horodziejowej był także we dworze i był niemal drugim jej synem p. Zygmunt Rotułowski. Był to syn przyjaciółki. Osierociał. Ale nie był wcale ubogi. Mieszkał jednak aż do dwudziestego roku życia w Horodach. Później przeniósł się i osiedlił w dziedzicznych Rotułach, w sąsiedztwie o pół mili od Horodów. W domu Horodziejów był jednak zawsze jak u siebie i bywał częstym gościem u przyjaciela i rówieśnika Andrzeja.

Andrzeja nazywał Rotułowski idealistą, Horodziej zaś Zygmunta pesymistą. O to zawsze poczynały się spory i zawsze pani Horodziejowa brała w obronę syna.

Rotułowski, nazywał przyjaciela także filantropem; Horodziej, Zygmunta brzydkim spekulantem. Ale ten wyraz „brzydki“ nie był wymawiany z wiarą, tylko jakby w chęci odwrócenia przyjaciela od spekulacji. Horodziej wyrzucał nieraz przyjacielowi, że nie szanuje ludzi pracy ani pracy samej i gotów zawsze

wyzyskać ludzi, najbliższych sąsiadów, włościan. Pan Rotułowski przedrwiwał znowu humanitarne porywy Andrzeja.

Andrzej budował we wsi swojej szkołę własnym nakładem i darował gminie pod budynek kawałek gruntu. U Rotułowskiego musiała gmina zbudować szkołę na własnym gruncie, a materiał budulcowy kupić u właściciela lasu, Rotułowskiego.

— Ja zarobiłem na szkole pięćset guldenów — mówił Rotułowski, — a ty straciłeś z półtora tysiąca.

— Ty zabrnąłeś w cynizmie po uszy, — odparł na to Andrzej — a ja nigdy nie będę spekulantem.

Tak się nawzajem gryźli przyjaciele, już nie młodzieńcy, ale mężowie w kwiecie wieku, obydwaj bowiem doszli już do dwudziestego siódmego roku życia.

O tej porze przybyła nagle do Horodów panna Jadwiga pod opiekę dalekiej swojej kuzynki, matki Andrzeja. Panna Jadwiga miała lat dziewiętnaście. Przybywała z kilku kosztownymi pamiątkami po matce i z kilku tysiącami, które zostawił jej ojciec. Przybył z nią do dworu i salonu także nowy fortepian. Stary wyrzucono, nowy zajął miejsce. Talent muzyczny dziedziczyła podobno po ojcu, który

niegdyś wojskowy, grywał na starość z pasyą na wiolonczeli, a mniej za to w karty.

Z panną Jadwigą przybywało jeszcze i nieco odmiennych zapatrywań, atoli nie podzielanych w Horodach bezwarunkowo. Ojciec nauczył ją gorszyć się próżniactwem i szanować wszelką pracę i jej przedstawicieli. Tu wprawdzie próżniaków nie było, ale były przesady.

Dziwna rzecz, idealista pan Andrzej, nie zawsze mógł się zgodzić z pozorną idealistką Jadwigą.

Jeszcze dziwniejsza rzecz, że i pesymista pan Rotułowski, nigdy nie podzielał pozornie praktycznych opinij panny Jadwigi.

Pięknej wszakże kobiecie robiono często ustępstwa. Panna Jadwiga była rzeczywiście piękną. Wysoka, niezbyt szczupła, ale wysmukła i zgrabna, nosiła na pełnych ramionach, na ślicznym biuście i olśniewającej białości szyi dumną głowę, otoczoną czarnemi splotami włosów. Pogodne czoło, brew czarna i oczy głęboko patrzące, usta niekiedy mocniej zacisnięte pod nosem kształtu greckiego — oto i całość zewnętrzna osoby.

Pan Rotułowski często, mimo woli, zwracał spojrzenia na mówiącą. Było to jednak spojrzenie zawsze kradzione. Prosto w oczy i w twarz spojrzeć nie chciał. Ile razy mu

się zdawało, że za długo patrzył na pannę Jadwigę, czynił sobie wyrzuty :

— Jabym się miał zadurzyć, pozwolić opanować namiętności? Nie! Wszelka namiętność jest szaleństwem!

Szaleństwa tego dopuścił się kto inny.

W kilka miesięcy po przybyciu do Horodów, wyjechała panna Jadwiga z Horodziejową i panem Andrzejem w odwiedzinach do sąsiadów.

Tutaj na wsi u szanownego ziemianina było tak, jak się często powtarza: przezacna małżonka, panie i panny z sąsiedztwa zabawiały się, mówiąc pięknie, a mówiąc po prostu, nudziły się w salonie, a panowie tak się doskonale zabawiali grą w karty, że nie wiedzieli nawet, kto tam z gości później przybywał.

Ale nakoniec, jeżeli nie salon, to pokój stołowy sprowadza ludzi do półmisków. Szły panie i panny z salonu; szli panowie i panice od kart z pokoju jegomości.

Panna Jadwiga znalazła się już niemal w połowie pokoju, gdy o parę kroków przed nią stanął, jakby wrósł w posadzkę mężczyzna, wzrostu z nią prawie równego, blondyn, o wyniosłym czole, nosie nieco kobuzim i utkwiał w nią spojrzenie dużych swych, błękitnych oczu. Ona zbliżyła się jeszcze, pomimo, iż mogło się zdawać, że ten nieznajomy dotychczas, spogląda impertynencko.

Co w przeciągu tak przelotnej chwili mogli wyczytać nawzajem w swoich oczach? Wysiłać się na odpowiedź, byłoby próżnem usiłowaniem. To pewna tylko, że uczuli gwałtowną potrzebę zaglądania sobie w oczy i zniewalania się, by oczy odwrócić w inną stronę. On zarówno jak ona, od pierwszej chwili podejrzawali wszystkich, że ci wszyscy patrzą tylko na kierunek ich spojrzeń.

Zbliżyć się do siebie nie mogli, a zdaje się czuli tę potrzebę. Ale zanim usiedli do stołu, westchnęli rozchodząc się na miejsca wskazane.

Przedtem jeszcze nastąpiły przedstawienia nieznanomych, panowie bowiem przy kartach tak często powtarzali „szkoda czasu“, iż żaden nie zmarnował go i nie zajrzał wcześniej do salonu. W przedstawionym blondynie poznała panna Jadwiga Stefana Firlejowskiego, także ziemianina.

Po kolacyi nie poszedł pan Firlejowski do kart i naraził się na zarzut, iż jest „próżniakiem“.

Przy rozstaniu, w salonie, kiedy wszyscy wszystkich żegnali, podała Jadwiga rękę panu Firlejowskiemu. On pochwycił skwapliwie tę piękną rączkę i nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, pochylił się i ucałował rękę serdecznie.

Minęło kilka miesięcy. W ciągu tego czasu bywał Firlejowski częstym gościem w Horodach. Znajomość a nawet pewny stopień poufałości z Horodziejem, czyniły bywanie to naturalnem. Rotułowski nie lubił Firlejowskiego. Mówił o tej niechęci z Andrzejem, który nie podzielał uczucia wstrętu do nowej znajomości. Rotułowski jednak przeczuwał coś, ale nie chciał się przyznać do tego, jak się nigdy nie przyznawał, gdy nim owładnęło jakie uczucie.

Im częstsze były odwiedziny Firlejowskiego w Horodach, tembardziej srożył się Rotułowski. Czemu? O to właśnie zagadnęła go raz pani Horodziejowa.

— Nie lubię tego człowieka — brzmiała krótka odpowiedź.

— To chyba jesteś zazdrosny o Jadwigę? — rzekła z uśmiechem matka Horodzieja.

Na te słowa spłonęła twarz pana Zygmunta i zawrzał gniewem stłumionym; ochłonawszy jednak, odparł obojętnie:

— A cóż mnie obchodzi panna Jadwiga?

— Dziwak więc jesteś, mój Zygmuncie — skończyła matka Horodzieja.

Firlejowski przyjeżdżał tymczasem przez całe lato. Rozmawiali z zajęciem z Jadwigą, która interesowała się wszystkim, a przede wszystkim oświatą ludu, bo było to w okre-

się rozpraw publicznych na temat oświaty. Firlejowski był wymowny a pomysły swoje umiał przedstawiać nie bez pewnego polotu myśli podnioslejszej. Nie był to umysł głęboki, ale obejmujący wszystko bardzo zręcznie. Kochał się zresztą a miłość uczy niekiedy i wymowy.

Nakoniec pewnego dnia oświadczył się.

Panna Jadwiga przyjęła wyznanie z radością i nie tała się z tem. Poprowadziła Firlejowskiego do opiekunki i przedstawiła jako narzeczonego, chociaż w duszy mówiła: mój kochanek.

Gdy się dowiedzieli o tem Andrzej i Zygmunt, pierwszy rzekł: życzę jej szczęścia. Rotułowski nie powiedział głośno ani słowa, ale w duchu krzyknął: warjotka!

Odtąd zajmował się Rotułowski gorliwiej przyszłym mężem Jadwigi. Gdyby się nie brzydził podstępem, byłby badał nawet domowe życie i postępowanie Firlejowskiego, ale to było dlań rzeczą wstrętną. Ile zaś dowiedział się w sąsiedztwie, dawało obraz człowieka uczciwego, który podobnie jak Horodziej żył ze swymi sąsiadami, chłopami we wsi, to jest żył jak światlejszy, ale życzliwy sąsiad.

Rotułowskiego gniewało jednak, że miłość kochanków wzmagala się z dniem każdym. Byli tylko sobą zajęci. Gdy inni mówili: bę-

da szczęśliwi, on uśmiechał się złośliwie. Czemu? Do tego i teraz przyznać się nie chciał. Czy nie wierzył w miłość, czy ją sobie wyrozumował.

W jesieni nadszedł dzień ślubu. Dzień był chłodny, ale pogodny, jasny, jakie u nas bywają w jesieni częściej, niż w lecie. I znowu mówili wszyscy: będą szczęśliwi.

Kochankowie ani tego nie słyszeli, ani nie widzieli oczu zwróconych na nich w kościółku wiejskim i później w ciągu uczty weselnej. Tutaj odzywały się głosy: dobrana para.

Rotułowski raz tylko przetańczył z panną młodą jedną polkę. Skorzystał z tej chwili, ażeby powiedzieć Jadwidze:

— Życzę pani szczęścia, jeśli to możliwe.

W życzeniu tem mieściło się więcej złośliwości, niż życzliwości. Dotknęło to głęboko i boleśnie Jadwigę, ale dumna, jak zawsze, nie dała tego poznać po sobie i odparła:

— To zależy od nas samych.

Odtąd nie przemówili już do siebie ani słowa. Nastąpiło nawet takie oziębienie, że Jadwiga unikała już do końca uczty towarzystwa druzby swego.

Nazajutrz wyjechali państwo młodzi w bliskie sąsiedztwo do majątności Firlejowskiego.

W kilka dni po ślubie, gdy już zostali sami, ukląkł Stefan przed swoją żoną i rzekł:

— Moja droga, jesteś panią wszystkiego co mam i mieć mogę. Zrobię wszystko, jak mi poradzisz, bo radzisz dobrze.

W tej chwili jednak zamiast rady, odebrał mąż tylko gorący pocałunek.

Nastały dni pełne uroku. Na przemian z pracą szły chwile odpoczynku i uniesień. Stefan widząc, że żonie podoba się jego codzienna w pocie czoła praca, zajmował się coraz gorliwiej gospodarstwem i opowiadał jej wieczorem co zrobił. Trwało to kilka miesięcy. Nastąpił znowu okres wizyt w sąsiedztwo. Była to konieczność nieunikniona. Dotychczas powracali zawsze tego samego dnia, w którym wyjeżdżali z domu. Trafiło się jednak po kilku tygodniach, że u jednego z sąsiadów ziemian, gdy pani Jadwiga czekała już zebrana do odjazdu, wszedł gospodarz i zaczął błagać, ażeby pozostała, bo przy kartach nie rozegrała jeszcze partya.

Pierwszy raz od kiedy ożenił się pan Stefan, zasiadł do kart, o których już był zapomniiał, a przynajmniej zdawało się, że zapomniiał. Przykro to uczuła Jadwiga, ale cóż było robić, pozostać musiała.

Pozostali do rana, bo przy stolikach zielonych siedziało kilku namiętnych graczy.

Około południa powracał Stefan z Jadwigą do domu. Jechali milcząc. On nie śmiał spojrzeć w oczy żonie i był czegoś roztargniony. Ona była smutna i mówić nie mogła. Zaledwo powrócili, Stefan wyszedł, kazał osiodłać konia i pojechał. W kwadrans stanął przed karczmą na rozdrożu i nie zeskakując z konia, kazał wywołać arendarza.

Chodziło o pożyczkę kilku tysięcy. Arendarz nie miał i musiał jechać do miasteczka pomiędzy braci swego wyznania.

W godzinę wrócił pan Stefan. Zagadnięty przez żonę, gdzie był, odrzekł coś niewyraźnie. W Jadwidze obudziło się jakieś podejrzenie, które się wzmogło, gdy nad wieczorem przybył arendarz, gdy się z nim zamknął Stefan, a następnie kazał zaprzęgać i nie pożegnawszy się z żoną, wyjechał.

Powiózł haracz namiętności, przegraną sumę w karty. Honor nie pozwalał zrobić inaczej.

Jadwiga płakała, ale Stefan nie poznał tego po żonie. Nazajutrz zagadnęła rano:

— Możeby ci się teraz przydała moja rada?

Stefan zmieszał się i zagadał o czym innym, niż o tem, coby w istocie mogło mieć związek ze złem przecuciem żony. Wymowa nie opuszczała go i wygrał tym razem. Powrócił humor i wracała harmonia.

Znowu czas jakiś minął na ugaszczanie odwiedzających sąsiadów. Gościnność młodej pary była serdeczna. Gdy ustały odwiedziny całych rodzin, poważyli się wreszcie przybyć i przypomnieć pamięci dawni przyjaciele młodości Firlejowskiego. Ludzie jego wieku lub młodszy, znajdowali jedyną rozrywkę w kartach i w kieliszku.

Nie przebierano w ambrozyi. Prosta wódka tak krążyła kieliszkami od rana do południa, że młode towarzystwo przybywało na drugie śniadanie już oszołomione najczęściej. Gospodarz dotrzymywał młodym towarzyszą i pił na równi z nimi.

Jak można zapijać się tak nieszlachetnym trunkiem, dziwią się tylko ci, którzy nie upijają się nigdy i szlachetniejszym. Ale ludzie dla których nałóg staje się igraszką, żartem, rodzajem współzawodnictwa, piją niemiłosiernie.

Zabawka ta trwała już cztery dni, i dziwna rzecz, Firlejowski nie nudził się w tem towarzystwie. Piątego dnia pani Jadwiga nie pokazała się już przy drugim śniadaniu, nie wyszła i do obiadu, tylko przez służącego kazała przeprosić, że chora i przyjść do stołu nie może.

Hucznie było tym razem przy obiedzie. Nadwątlone głowy poranną wódeczką, pozawracało do reszty wino. Popołudniu chrapali

w śnie ołowianym pogrążeni w pokojach gościnnych i panowie i pan domu. Ocknęli się dopiero wieczorem i straciwszy już tak wiele czasu, zasiedli do kart. Zastał ich tak późny zimowy poranek.

Trzeba było na orzeźwienie świeżej ambrozyi, którą wniósł lokaj w kryształowej karafce. Pito kolejną, która powtórzyła się kilka razy. Chwalono krajowy wyrób, sławiąc jego zalety jako wspanialsze od wina.

Sławił przed tysiącami lat mędrzec grecki wodę, jako najzdrowszy i najdoskonalszy napój a goście pana Firlejowskiego sławili wódkę jako najzdrowszy nektar. Zmieniają się gusta i zapatrywania. Oczywiście. Inaczej nie byłoby postępu. Alkoholizm w Galicyi robi zdumiewające postępy.

Rozkoszne to zamęcenie umysłów trwało do godziny jedenastej rano. Przy śniadaniu zapanowało już takie uznanie dla wódki, że towarzysze młodości Firlejowskiego nie chcieli nawet kosztować wina.

Po śniadaniu jeden z najstarszych kolegów przypomniał sobie, że nakoniec wypadało wracać do zajęć i do domu.

— Daliśmy ci dowód — rzekł do gospodarza, naszej niezmiennej życzliwości, a teraz czas żegnać.

Przykład ten naśladowali i inni i pożegnali gospodarza.

Firlejowski pozostał sam przy szczątkach niedojedzonego śniadania i napoczętych wódkach. Uczuł dziwną próżnię w około siebie. Od kilku dni nie widział się z żoną, ale rzekł sobie, że spełnił wzorowo obowiązek gościnnego gospodarza.

Przyszło mu jednak na myśl, co pomyśli Jadwiga, a potem, czy w istocie było jego obowiązkiem w ten sposób przyjmować i ulegać pijakom? Dla zabicia myśli dręczących wychylił jeszcze jeden kielich. Po chwili oglądnął się po pokoju, jakby strwożony, a przekonawszy się, że jest sam, pochwycił flaszkę z wódką i pił truciznę jak wodę.

Powstał nakoniec od stołu, zbliżył się do sofki w kącie, usiadł i pochylił głowę. Drzemał tak chwilę, poczem ociężałe ciało i głowa opadły bezwładnie, nogi dotykały posadzki, a połowa korpusu spoczywała na sofie.

Do pokoju wszedł służący, a ledwo drzwi otworzył, zaczął mówić: Pani prosi... Ale za ledwo zrobił krok w stronę, gdzie pan leżał jak bez duszy, załamał ręce i mruknawszy pod nosem: Jest dawne nieszczęście, wyszedł.

Pani Jadwiga czekała w swoim pokoju, pewna, że na wezwanie jej przyjdzie, przybiegnie mąż, pozbywszy się natrętnych nieco

przyjaciół. W tem wszedł stary służący, ten sam, który przed chwilą zaglądał do pokoju stołowego, ażeby poprosić pana do pani. Postrzegłszy go Jadwiga spojrzała ze zdumieniem. Służący stanął zmieszany i wymówił nieśmiało:

— Proszę pani... pan spi.

— Spi? — odparła Jadwiga. Dopierom wyszła z pokoju pana, tam nie ma nikogo.

— Pan zasnął w pokoju jadalnym.

Nie rzekłszy słowa, wyszła Jadwiga spiesźnie, przebiegła wązki korytarz i stanęła nagle w pokoju stołowym. Jeden rzut oka na szczątki biesiady wystarczał na mnóstwo niepochlebnych domysłów o biesiadnikach. Rzeczywistość była o wiele boleśniejsza. Na sofie leżał jej mąż, jej do niedawna kochanek, straszliwie oszpecony. Z głową na wznak, opartą na poręczy, z policzkami nabrzmiałemi, oczyma w sufit, ale zamkniętymi, oddychał charcząc, a z ust spiącego dobywała się ślina. Jadwiga uczuła dreszcze w całym ciele. Chciała się zbliżyć, nie mogła, bo wstręt jej wzrastał, im dłużej się wpatrywała w tę twarz spiącego, tak zmienioną, tak obraną z wyrazu szlachetniejszego, którym pałała nieraz, gdy mówił.

Niemiała woń wódki, rozlana po całym pokoju, czyniła widok ten jeszcze ohydniejszym.

Czy to przypadek? Czy to skutki towarzysztwa, czy nieogłędność? Pytania te zadawała sobie Jadwiga. Ale nagle odezwało się w jej umyśle pytanie okropne: A może to nałóg? Potarła ręką czoło, stłumiła ciężkie westchnienie i zwracając się do sługi starego, rzekła:

— Józefie, każ przenieść pana do pokoju sypialnego, rozbierz, połóż do łóżka i przyjdź do mnie.

Rzekłszy to, wyszła. Znalazłszy się w swoim pokoju, załkała głośno. Dzika jakaś rozpacz rozrywała jej pierś. Objęła głowę rękami i jakby znajdowała ulgę w ruchu kołysała głowę w rękach, gdy z piersi dobywały się jęki stłumione.

W tem otwarły się drzwi i wszedł sługa.

Jadwiga otarła szybko oczy, a odwracając się, kazała sobie przynieść szklankę świeżej wody. Gdy sługa powrócił z wodą, siedziała spokojna na pozór. Służący stanął i czekał.

— Dawno służysz swemu panu? — spytała Jadwiga.

— A już chyba dość dawno — brzmiała odpowiedź.

— Mów wyraźniej.

— Ta, proszę pani, służyłem we dworze, kiedy pana oddawali jeszcze do szkoły.

— A ci panowie, którzy dziś odjechali, czy przyjeżdżali tu dawniej?

— Zaczęli przyjeżdżać dopiero po śmierci starego pana.

— Kiedyż to było?

— To proszę łaski pani było jakoś, jak panicz powrócił z zagranicy i mówił, że już pełnoletni.

Jadwiga umilkła licząc w myśli. Rachunek domyślny przekonywał ją, że życie takie trwać mogło ośm do dziewięciu lat. Miała na ustach jeszcze jedno pytanie, lecz nagle zawałała się i powiedziała.

— Idź Józefie do pana i czuwaj, żebyś był na zawołanie, gdy się obudzi.

Sługa wyszedł, wychodząc pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: Wiem ja więcej, niżby pani chciała wiedzieć.

Wieczorem weszła Jadwiga do pokoju męża. Czuwał przy nim sługa, ale pan spał, a raczej drzemał, przytomności jednak i świadomości nie odzyskiwał. Ciężki to był sen.

Jadwiga powróciła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko, ale usnąć nie mogła długo. Dopiero nad ranem, znużona myślami przykremi i bezsennością, usnęła na kilka godzin.

Rano jak zwykle podano kawę w pokoju stołowym, odświeżonym i przepelnionym dziś wonią świeżej, gorącej kawy. Jadwiga blada,

ale z obliczem pogodniejszym nieco czekała na męża.

W pokoju pańskim odbywała się tymczasem dziwna scena.

Stary sługa stał z pokorną miną ale i z wyrazem jakiegoś postanowienia na twarzy i przypominał, że pani czeka z kawą.

— Podaj mi pierwiej wódki — rzekł pan Stefan głosem stłumionym.

— Nie ma w domu ani kieliszka.

— To idź do piwnicy, do magazynu, do gorzelni.

— Ale pani czeka.

— Słyszałeś, com powiedział! — krzyknął Stefan na sługę.

— Ha! niech się dzieje wola Boska — wyrzekł sługa i wyszedł. Powrócił za chwilę z karafeczką wódki i kieliszkiem na tacy.

Stefan porwał kieliszek i uśmiechnąwszy się rzekł:

— Poczekaj ty, stary kłamco!

Rzekłszy to, wypił, i podać chciał kieliszek, ażeby go ponownie napełnić, gdy służący czempędzej wyszedł a z za drzwi zawołał:

— Pani czeka!

Stefan rzucił kieliszkiem o posadzkę i z impetem wszedł do salonu a stąd do pokoju jadalnego. Zbliżywszy się tutaj, ochłonął. Dziwnie był nie swój, gdy się zbliżał do żony,

która w milczeniu spojrzała nań przenikliwie. Stefan uśmiechnął się z przymusem, ale nie wywołał uprzejmego skinienia żony, jak bywało tak niedawno jeszcze. Nie powstała, nie rzuciła mu się na szyję, jak to było jeszcze przed dwoma tygodniami. Krępowała ją niewytłumaczona sztywność. Patrzała na męża nieruchomo, patrzała, jakby pragnąc zajrzeć do głębi jego duszy i serca. On zaczął przeproszać, przyznawać się do winy, narzekać na nieuczciwość i lekkomyślność dawnych towarzyszków młodości, a w końcu ukląkł i całował żonę po rękach. Ona przyjmowała te objawy oziębłości, ona czuła, że serce jej nie uderza już tak, jakby może pragnęła. Zimną była pomimo woli, może nawet wbrew woli. Gdy Stefan powstał i nachylił się, chcąc ją pocałować w usta, zerwała się nagle z okrzykiem:

— O! precz!

— Jadwigo! co to znaczy!

— A cóż znaczy twój oddech zatruty wódką?

Stefan próbował się znowu tłumaczyć, lecz ona słuchać nie chciała. Wbiegła do pokoju męża i rozglądnęła się do koła. Nie znalazła tu wprawdzie nigdzie trunku, który zaczynał zatruwać jej życie, ale znalazła resztki rozprysniętego kieliszka i uczuła lekką wprawdzie

woń, ale zbliżoną do zaduchu, jakim przesycony był wczoraj pokój stołowy.

Przypomniały się jej rozmowy z ojcem nieboszczykiem, który ubolewał wielokrotnie, że młode pokolenie żyje ohydnie, szukając rozrywki w traktamentach wódką. Przypomniała sobie, jak często powtarzał, że kto pije wódkę rano, przed śniadaniem, bywa pijakiem nałogowym. Przechodziła w myśli te straszliwe obrazy, które malowało doświadczenie jej ojca, gdy opowiadał o ludziach młodych, którzy zatracali zdolności, talenta i w końcu życie przez nałóg haniebny.

Po raz drugi zahuczwała rozpacz w jej duszy, gdy powtarzała z płaczem: Mąż mój, kochanek — pijak nałogowy! Postanowiła jednak walczyć z tą namiętnością.

*

*

*

Przeszło rok takiej walki minął w nieustannych sporach, porozumieniach i ponownych swarach. Rok drugi nie lepiej się rozpoczął, gdyż smutną prawdą, że Stefan, jakkolwiek nie nałogowy karciarz, jednakowoż tracąc przytomność grywał z szulerami i zawsze zostawał ofiarą chciwości partnerów.

Kiedy bywały tygodnie, że nie pił w domu, to zmyślał interesa w miasteczku sąsiedniem i siedział tam po kilka dni. Stał się w końcu

pośmiewiskiem gawiedzi małomiasteczkowej, gdyż widziano go w handlach zasypiającego przy stoliku, albo zawożonego do hotelu. Jadwiga traciła nadzieję ratunku. Przyszłość stawała się coraz groźniejszą, bo i dłużnicy mniejsi grozili i banki ostrzegały. Biedna kobieta zająć się musiała sama interesami i równocześnie walczyć dalej z nałogiem męża.

Dziwiło ją tylko niekiedy, że Stefan od dawna zobojętniał, że wdzięki jej nie wywoływały w nim nawet tych uczuć i objawów, jakie są naturalne zupełnie u każdego człowieka, choćby nie kochał tak namiętnie i tak ślepo, jak kochał ją w istocie Stefan, nim został jej mężem.

Nie wiedziała, że alkohol zabija w człowieku nietylko siłę duszy, że tłumi nietylko władze umysłowe, ale morduje oraz wszelkie popędy, tak samo szlachetniejsze, jak i pozio-me. Namiętność miłości odradza, ale namiętność pijaństwa czyni z ciała bryłę ospałą. Nie wiedziała o tem wszystkim Jadwiga, ale doświadczenie zaczynało otwierać jej oczy.

W drugim roku spadły na nią niemal równocześnie dwa nieszczęścia: więcej, niż połowę skromnej posiadłości wzięto w sekwestr, a równocześnie mąż zachorował ciężko. Przyjechał pewnego razu z miasta nieprzytomny i bezsilny. Gdy go złożono na łóżko, po ocknię-

ciu się, kazał sobie podać jako lekarstwo kieliszek wódki.

Ochryplym głosem skarżył się na ból w piersiach, na duszność, na brak powietrza i niemoc w całym ciele. Chwilami zasypiał, budziły go jednak co chwila bóle, z których nie umiał sobie zdać sprawy.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo, ale bole się wzmogły. Stefan wołał, że pić mu się chce, ale wodę odtrącał ze wstrętem i musiano mu podawać wódkę. Pokarmów żadnych nie przyjmował. Chwilami wpadał w pół sen i jęczał. Pewnej nocy zakaszłał się mocno i odtąd duszność i chrypka tak zajęły piersi, że głosu jego ledwo można było dosłyszeć.

Jadwiga wezwała doktora. Przybył lekarz, zbadał stan chorego i zalecił koniecznie zmuszać go do pożywienia, które przepisał. Zapytany o chorobę, odrzekł, że objawy jej powikłane, że główną przyczyną nadużycie długoletnie alkoholu. Wybitniej występuje *hypertrofia* i cierpienia z powodu zaatakowania wątroby. Proszony o szczerą wyznał, że stan taki może potrwać dłużej, lecz może nastąpić i nieprzewidziana katastrofa.

Zaczęły się dni pełne smutku. Jadwiga nie odstępowała prawie od łóża chorego i lekarz musiał niemal dzień w dzień przyjeżdżać. Równocześnie nadeszły wezwania o zapłacenie

rat pożyczki, w przeciwnym razie groziła przymusowa sprzedaż majątności. Z resztek własnego kapitału zapłaciła Jadwiga zaległe raty, mało to jednak pomogło, bo i dłużnicy inni atakowali. Jadwiga przeczuwała, że zbliża się ruina.

W chwili tak krytycznej, pewnego dnia rano, zawiadomił służący Jadwigę, że doktor przyjechał i chce z nią mówić. Lekarz oświadczył znękanej kobiecie, że chwile męża jej są policzone. Weszła do pokoju chorego. Stefan zaledwo zrozumianym szeptem zaczął ubolewać nad własnem zaślepieniem; przeklinał namiętność, która pozbawiała go życia w kwiecie wieku, a w końcu błagał żonę, ażeby na pamięć miłości pierwszej przebaczyła mu wszystko złe jej wyrządzone.

Wspomnienie to, nie żal do męża, wywołało łzy z jej oczu. Przebaczyła mu dawno, ale na wspomnienie pięknej, acz krótkiej przeszłości długo jeszcze zalewała się łzami. Później nikt już nie widział ani jednej łzy w jej oku.

Tegoż dnia wieczorem umarł Stefan.

Po pogrzebie udała się młoda wdowa ponownie pod opiekę Horodziejów. Uregulowaniem interesów zajął się Zygmunt Rotułowski, ale mimo najlepszych chęci nie był w stanie nic uratować. Po sprzedaniu majątności nie starczyło nawet na pokrycie wszystkich dłu-

gów. Banki odebrały swoje, prywatne długi przyjęła na siebie wdowa i nie chcąc, ażeby zlorzeczono temu, którego niegdyś kochała, pozbyła się najkosztowniejszych pamiątek, byle popłacić wszystkie długi.

Po ściśłem obliczeniu się, widziała Jadwiga, że nie pozostało jej nic, prócz kilku pamiątek mniej kosztownych i tego, co sama na lat kilka potrzebować mogła. Po kilku dniach oświadczyła młoda wdowa, że starać się musi o zajęcie.

Matka Horodzieja przyjęła to z oburzeniem, Jadwiga jednak wytrwała w postanowieniu.

— Droga pani — rzekła Jadwiga do starszki, wiem jak szlachetne twe serce i jak chętnie dajesz mi schronienie, ale ja nie odzyskałabym swobody. Muszę pracować.

Wkrótce też, gdy się dowiedziała, że w bliższym sąsiedztwie poszukiwano nauczycielki muzyki i do uzupełnienia edukacji dwóch córek, pojechała tam z panią Horodziejową i została przyjęta otwartymi rękami.

Rotułowski jakoś dziwnie interesował się teraz losem młodej wdowy. Gdy matka Andrzeja pojechała z Jadwigą, Rotułowski dowiedziawszy się, dokąd i po co pojechały, przybył do Horodzieja z wyrzutami, że wypędzili z domu kuzynkę.

— Mylisz się — rzekł Andrzej — nie

tylko nie wypędzaliśmy, ale matka moja stanowczo nawet sprzeciwiała się temu.

— Trzeba było nie puścić, perswadować— mówił zagniewany pan Zygmunt.

— Nie puścić? Chyba użyć przemocy; nie mieliśmy prawa do tego.

— Mielicie prawo, bo to wasza kuzynka.

Andrzej spojrział zdziwiony trochę na Zygmunta i rzekł:

— Coś mi podejrzana ta twoja gorliwość i przyznam ci się, niezgodna z twoim egoizmem.

— Bez podejrzeń — odparł Rotułowski — poczuwam się zawsze do obowiązku ratowania ludzi naszej sfery.

— Tylko dlatego?

— Tak, tylko dlatego. Ażeby ich nie narażać na poniżenie.

— Praca nie poniża.

— Lepiej nie mówmy o tem, — rzekł Rotułowski. Do widzenia!

Rzekłszy to, kazał zaprzęgać i odjechał do swoich Rotułów.

Rok już blisko trwało zajęcie Jadwigi w domu zamożnego ziemianina, którego córki robiły znakomite postępy pod kierunkiem nauczycielki wdowy.

Pani domu była bardzo zadowolona z nauczycielki i stawiała się niemal jej przyjaciółką.

Pan byłby może równie zadowolony, gdyby nie zachowanie się Jadwigi, zachowanie się, które nazywał manią.

Pani Jadwiga bowiem wszystkie wolne od zajęć chwile obracała na to, ażeby zaglądać do chat, gdzie nieszczęście lub choroba nękały strapionych włości. Samo przez się nie zrażałoby to może pana kilku włości, gdyby nie okoliczność, że pani Jadwiga stawała się gorliwą propagatorką wstrzemięźliwości pomiędzy ludem. Pamięć cierpień, które przeżyła, widok poniżenia ludzkiego, którego była sama świadkiem, okropny obraz człowieka oszpeconego nałogiem, człowieka, który był jej mężem, zrobiły z młodej wdowy pełną zapалу nieprzyjaciółkę karczmy i nałogu, w którym ludność topiła pracę i zdrowie.

Wielokrotnie już pani domu musiała znieść wymówki męża, że nauczycielka jest ekscentryczką. Prawdziwą wszakże burzę sprowadziła skarga arendarza, który groził znizeniem tenty propinacyjnej, bo jak mówił, te „bestye chłopcy coraz mniej piją.“

„Coraz mniej piją!“ to kwestya żywotna dla arendarza.

Nie mogę tyle płacić, to kwestya taka sama dla właściciela.

Winę tego przewrotu w społeczności chłopskiej przypisywano w okolicy pani Jadwidze.

Winę tę wyrzucił jej Rotułowski, gdy się zobaczyli u Horodziejów pewnej niedzieli. Ale dla Rotułowskiego przewrót był rzeczą obojętną, on oburzał się na to, że pani Jadwiga wdawała się z ludem, że zajmowała się czemś, czemby według niego nie powinna zajmować się kobieta tak młoda, tak piękna, tak wykształcona, i tej sfery.

Jadwiga zapytała, czemu nie powinna?

— Bo my świata nie przerobimy — odparł pan Rotułowski. Pani zaś robi sobie nieprzyjaciół w świecie, w którym żyjesz. Nazywają panią reformatorką a wyraz ten wymawiany jest z ironią. To mi sprawia przykrość.

— Przestań pan mię bronić w tym świecie, bo możesz się i sam narazić przezemnie.

— Już się potrosze naraziłem.

— To dobrowolnie — rzekła Jadwiga.

— Nie pani, nie dobrowolnie; zmusiła mię do tego życzliwość dla pani.

— Dziękuję panu.

— Przyjmujesz więc pani moją życzliwość, a nie chcesz wysłuchać mojej prośby i zapomnieć o świecie, z którym nie masz nic wspólnego.

— To zależy od zapatrywania. Pan wiesz, że nie potrafię być egoistką.

— Twierdzisz pani zatem, że ja jestem egoistą?

— Nie mam prawa do tego. Ja tylko mówię, że nie mogę być egoistką.

— Ale mnie wolno to sobie tłumaczyć po swojemu — rzekł Rotułowski.

— Wolno — odparła Jadwiga.

Na tem skończył się nie pierwszy spór tego rodzaju.

Rozszedłszy się, każde z nich pomyślało w duszy: Szkoda!

Pobudki jednak były odmienne. Jadwiga myślała: Szkoda, że ten człowiek zapomina o całym świecie i widzi tylko siebie. Rotułowski, oburzony w duszy na to, że z każdym dniem zajmował się mocniej Jadwigą, powtarzał w duchu: Szkoda, że ta kobieta ma tyle dziwactw.

Minęło znowu kilka miesięcy, w ciągu których przychodziło do przesilenia, gdyż dobroczynny wpływ propagatorki sięgał już i w sąsiednią okolicę. Jeżeli złe jest zaraźliwem, to nie mniej i dobre znajduje pomąłu naśladowców. Pani Jadwiga pozyskała w okolicy dla swojej działalności współpracowników w kilku kapłanach i odtąd wstrzeźliwość ludu szerzyła się jak zaraza.

Nad sprawą tą rozprawiano już na zjazdach w sąsiedztwie, a przy tej sposobności szamerowano młodą wdowę, nazywając ją warjatką, reformatorką, niekiedy emancypan-

tką, chociaż nie zrobiła nic, coby miało pozory emancypacyi, pojmwanej przez obskurantów za wykroczenie z granic przepisanych obyczajami i zwyczajem dla kobiety.

O tej porze uczynił Rotułowski sam przed sobą wyznanie, że zakochał się naprawdę w młodej wdowie i łajał sam siebie w duchu. Jestem szalony! mówił. Tą drogą nie dojdę do niezależności, tą drogą nie podwoję majątku. Ale mimo tego szamotania się z sobą, silniejsza od rozumowań moc miłości zniewoliła go do wyznania jej Jadwidze.

Wdowa przyjęła to grzecznie, nie odebrała mu nadziei, ale nie odpowiedziała wzajemnością. Byłoby może inaczej, gdyby Jadwigi nie zrażała obojętność Rotułowskiego dla spraw publicznych. Dla niej nie do pojęcia było życie bez udziału w życiu. Charakter jej samodzielny nie znosił zamknięcia się w ciasnej sferze. Gdy myślała nad wyznaniem Rotułowskiego, przyszło jej nie wiedzieć zkąd na myśl: Kocha mnie, bo jestem dość piękną, ale on nie kocha mojej duszy, mojej myśli, onby je pragnął złamać i zgnębić. To ją oburzało. Ale o tych myślach nikt nie wiedział, żyły one utajone w głębi jej duszy.

Na nieszczęście dla Rotułowskiego zaszedł jeszcze inny wypadek, który poróżnił ich na długo. Jadwiga coraz więcej znajdowała upo-

dobania w zajęciu losem innych. Sprawiało jej to niewymowną rozkosz. Niekiedy popychało do poświęceń cichych, o których wiedzieli tylko najbliżsi.

Zdarzyło się, że Rotułowski wykonywał w swojej majątności jakieś budowle. Jeden z mniejszych przedsiębiorców rękodzielników otrzymał od Rotułowskiego jakąś kwotę na wydatki przy budowie i użył jej dla siebie z powodu nagłej choroby żony i dziecka w mieście. Rotułowski oskarżył go o sprzeniewierzenie. Ale nim skarga doszła do władz w miasteczku, Jadwiga dowiedziała się o całym zdarzeniu. Ofiarowała obwinionemu całą kwotę i wysłała go, by zwrócił Rotułowskiemu.

Byłby o tem nikt nie wiedział, biedny rękodzielnik jednak pragnął wdzięczność swą okazać uwielbieniem szlachetności ofiarodawczyni i sprawa stała się głośną w okolicy.

Wypadek ten, rzecz dziwna, zgubił młodą wdowę w opinii okolicy. Równocześnie zaś wypowiedziano pani Jadwidze zatrudnienie mentorki i nauczycielki muzyki u szanownego ziemianina. Musiano wypowiedzieć, bo za jej wpływem chłopci przestali pić zupełnie. Zaczynano nawet powątpiewać, czy powrócą kiedykolwiek do nałogu, wzbogacającego przemysł krajowy!

Pani Jadwiga powróciła do Horodziejów, ale na krótko. W kilka dni oświadczyła :

— Jadę do Lwowa!

Oświadczenie to przyjęto wykrzyknikami i protestami, a ochłonawszy, pytaniem:

— Po co?

— Szukać odpowiedniej pracy i urządzić sobie skromny kącik, ażeby żyć spokojnie i nie gorszyć nikogo.

Ostatnie słowa wymówiła z goryczą.

Pani Horodziejowa pożegnała ją łzami szczeremi i błogosławieństwem. Andrzej równie szczerem życzeniem powodzenia, a Rotułowski pochmurnem milczeniem i niskim ukłonem.

I.

Pan Wiórkiewicz, właściciel pokaźnej realności we Lwowie, był przekonany, że robi zaszczyt miastu, ponieważ jest jego obywatelem. Ale dobre wyobrażenie o sobie nie ubliża nikomu. Jeżeli niekiedy czyny nie odpowiadają ambicyi, to może i nie wina jednostki, która urosła w ambicyę przed zbudowaniem w swoim umyśle przybytku dla obowiązków.

Właściciel realności był oraz mężem „publicznym.“ Tak się z przyjemnością nazywał, a tytuł i prawo do tego wyprowadzał z okoliczności, że przed laty był członkiem stugło-

wej rady miejskiej i że po latach kilku obdarzyli go współobywatele znowu zaufaniem swoim i godnością radnego. Wiórkiewicz był także członkiem kasyna miejskiego. Był nim dlatego, bo tam spotykał szanownych współobywateli i przepędzał wieczory na gawędce albo przy grze w wista. Do żony jednak mawiał, że jest członkiem kasyna tylko dla niej i dla córki, które lubiły korzystać z wieczorów, balów i rautów urządzanych w kasynie.

Żona, pani Katarzyna, wypierała się tej potrzeby życia w świecie szerszym, ale dodawała: Cóż robić, mamy córkę dorosłą, nie można jej „zamarynować“ w domu.

Panna Aniela, córka Wiórkiewiczów, otwarcie mówiła, że wieczory w kasynie przypadają jej do gustu. Pomiedzy rodzicami a córką urastał zresztą mur sprzeczności. Córkę kształcono i starano się wychować. Ale jakże dać wychowanie, jeżeli się go samym nie posiada? Anieli dopomógł do wychowania traf szczęśliwy. Miała kilka nauczycielek po kolei z innego świata i one mimowiednie uzupełniły jej wychowanie. Ostatnia nauczycielka zajęła się nią nawet serdecznie i pod wpływem tej ostatniej dojrzała Aniela na panienkę z wielu zaletami serca i umysłu. Przedtem była zajmującą i miłą, doszedłszy do lat dziewiętnastu zaczęła uchodzić za piękną i roztrofną.

Roztropności dowody składała w postępowaniu z rodzicami. Jakkolwiek raziła ją wielokrotnie rubaszność ojca, nigdy nie dała tego uczuć, nigdy nie wymówiła się z tem nawet w rozmowie z matką, która sercem odgaadywała, że córka jej ma inne pragnienia.

Pewnego dnia, późną jesienią, kiedy się rozpoczęły wieczory w kasynie, powróciła rodzina Wiórkiewiczów późno do domu. Cały dom odpoczywał nazajutrz dłużej, a Wiórkiewicz nie zasiadł nawet do obiadu.

Okolo trzeciej po południu przyszły matka z córką do tak zwanego salonu. Radziły nad przeobrażeniem go, bo miały przyjąć kogoś, z kim zrobiły znajomość w kasynie. Znajomość trwała już kilka miesięcy, ale dopiero wczoraj zaproszono nowego znajomego do domu.

Wiórkiewicz nudził się. Chodził po kamienicy, zrzedził na służbę, na stróża a w końcu przeszedłszy przez kilka pokoi i nie zastawszy tam żony i córki, wszedł do salonu. Na wstępie ziewnął, potem zbliżył się do kanapy, owinał szlafrokiem i zagadnął:

— Bodaj was baby! Nie zjadłem śniadania, nie mogłem jeść obiadu; wszystko z niewyspania się a wszystko przez was. Bodaj to djabli porwali z tem kasynem.

— Zabawiłeś się przecie — odparła żona.

— Piękna mi zabawa, przegrałem siedmnaście guldenów.

Aniela zauważyła na to z uśmiechem:

— A któż ojczulkowi kazał grać?

— Kto kazał? Głupie pytanie. Wyście z matką szalały w tańcu, a ja co miałem robić? Nie trzeba było do rana warjować, tobym się był wyspał, a tak, cały dzień na nic.

Ponowne ziewnięcie świadczyło, że właściciel realności nie był w stanie rzeczywiście pomyśleć o zajęciu jakim.

W tem Aniela zbliżywszy się do stołu, wzięła leżący jakiś papier i podając go ojcu, wymówiła:

— Proszę.

— Co to?

— To, ojczulku, z ratusza.

Wiórkiewicz rzucił się niecierpliwie i zawołał:

— Już chyba znowu posiedzenie? A to kara boska, nie dadzą człowiekowi spocząć!

Rzekłszy to, wyciągnął się na kanapie i dodał:

— Nie pójdę, nie, choćby tam nie wiem co było.

Aniela rozmawiała chwilę półgłosem z matką, poczem odezwała się głośniej:

— Proszę mówić z ojcem.

Pani Katarzyna nachyliła się, a przekonawszy się, że małżonek nie spi, zagadnęła:

— Słuchajno stary, Aniela ma do ciebie prośbę.

— To niech ma—zahuczał Wiórkiewicz— żeby ta prośba tylko nie tyczyła się kieszeni, bo dalibóg, że nic nie dam.

— Właśnie też — chciała mówić dalej, ale mąż przerwał głośnem:

— Nie słucham! nie słucham!

Aniela ośmieliła się zrobić uwagę, że wydatek to ważny.

— To gadajże na co? — spytał.

Kiedy się zawahała z odpowiedzią, wyraził posądzenie, że chcą go okłamać.

— Nie — przerwała Aniela — jak ojca kocham. Ale chciałabym tak powiedzieć, żeby to ojciec zrozumiał.

Wiórkiewicz zerwał się z kanapy i zawołał:

— Co? żebym zrozumiał? Ty kozo jakaś, cóż ty sobie myślisz o ojcu? Żebym zrozumiał! Ja nie takie rzeczy rozumiem, jak wasze głupstwa. No, żeby to kto słyszał!

Pani Katarzyna pragnęła zażegnać podrażnioną ambycję obywatelską i rzekła do męża:

— Nie gniewaj się, bo tu idzie o reputację domu.

— Co? co? co? — wołał Wiórkiewicz, chodząc dużymi krokami po salonie. A cóż to, czy ja kogo zabilem, okradłem, czy wy-

ście co takiego zrobiły, żebym ja miał za reputację płacić?

Znowu odezwała się córka i znowu dostał się jej komplement, nakoniec jednak wspólne usiłowania doprowadziły do tego, że Wiórkiewicz przyrzekł wysłuchać cierpliwie przełożenia, Aniela zaś zaczęła:

— Zaprosiliśmy wczoraj w kasynie gościa, ojczulek wie, pana Horodzieja i dziś ma być u nas w domu.

— Owa! — odparł Wiórkiewicz machnąwszy ręką. — Bóg wie co to za ptaszek.

— I sam go przecie prosiłeś — przypomniała Katarzyna.

— Bo gadałyście, że bogaty, że ma wieś, czy co tam.

Aniela przedstawia znowu, że nie o to idzie czy gość ten bogaty, ale o to, że skoro będzie w domu, to wyniesie o nim jakąś opinię, a nie będzie ona pochlebna, gdy mu wpadnie w oko pusty stół w salonie, bez jednej książki, bez żadnej ilustracyi... Wiórkiewicz na wszystkie te uwagi odpowiedział skierowaniem ręki i palca w stronę fortepianu i dodał:

— Alboż to nic? nie zapłaciłem za fortepian siedmset guldenów? jeszcze wam mało?

Aniela odezwała się półgłosem:

— To co innego, a literatura co innego.

Matka zaś zwracając się do małżonka wyrzekła z pewnym rodzajem dumy:

— A jeżeliś zapłacił tyle, to cię stać na to.
— Pewnie, że mię stać, choćby i na dwa
— poprawił obywatel. rosnąc w dumę.

— Dlatego też da ojczulek piętnaście guldenów na książki i prenumeratę dzienników.

Zdawało się Anieli, że mówiła to w chwili szczęśliwej, tymczasem usłyszała od ojca:

— Albo ja głupi? Szkoda pieniędzy na książki, to martwy kapitał.

— To chce ojciec, żeby świat powiedział, że to dom kołtuński?

— Proszę cię! — zawołał Wiórkiewicz — nie irytuj mię. Jeżeli by usechł temu, ktoby tak mówił. Zamożny dom mieszczański, to co innego.

Anieli wyszła z ust znowu pomimo jej woli uwaga:

— Co po zamożności bez rozumu?

Matka jednak potrafiła odwrócić prawdopodobną burzę ojcowską zmyślonym gniewem i ulubionem swoim powiedzeniem:

— Chcesz chyba „zamarynować“ Anielkę?

— Oho! oho! — zagadnął Wiórkiewicz. — Znajdzie się i między naszymi taki, który Anielkę weźmie. Ot, przypominam sobie, że kilka dni temu mówił do mnie Filipkiewicz: Wie pan, jabym się ożenił z pańską córką,

gdyby mię zechciała. Mam realność, ale to dla takiej panny za mało. Czekać, aż moja ciotka umrze, a umrze już lada dzień i zostawi mi kamienicę. Wtedy ja przyjdę do państwa i będę się starał o łaskę panny Anieli. — Słyszycie? Mówił o „łaskę“. Nie wiem nawet, gdzie ta bestya tak się nauczył mówić.

Aniela wydeła wzgardliwie usta i pomyślała, że z czasem potrafi ojca przekonać o niestosowności dla niej pana Filipkiewicza. Tymczasem jednak szło jej o zdobycie owych piętnastu guldenów. Była pewna, że fundusz ten wystarczy na małą bibliotekę, a to w ten sposób, że płacąc za część książek, każe resztę wpisać na rachunek ojca. Wiórkiewicz certował się jeszcze chwilę, ale nareszcie małżonka pokonała go następującym argumentem:

— Jeżeli chcesz być czemś w oczach ludzi, to nie możesz tak skąpić. Pan Horodziej pewnie jeszcze nie był gościem w żadnym mieszczańskim domu. Trzebaż mu pokazać, że i my nie gorsi od obywatelów na wsi.

Wiórkiewicz aż podskoczył uradowany i zawołał:

— Kasiu! ty masz czasem większy rozum niż twoja głowa. Teraz rozumiem o co chodzi. O! niedoczekanie ich, żeby sobie kpili z mieszczan. Anielka! chodź, dam ci dwadzieścia guldenów.

Uradowana takim obrotem panna Aniela pospieszyła za ojcem do jego pokoju. W duchu cieszyła się tem, że nakoniec i literatura skorzysta coś na zamożności, którą się chęłpił jej ojciec i cieszyło ją to prawie więcej, niż spełnienie jej życzenia i myśli ulubionej, że będzie nakoniec panią biblioteczki.

II.

Pani Jadwiga mieszkała od dwóch lat we Lwowie.

W okolicy, którą opuściła, przebrzmiały już echa dziwacznych o niej opinij, przebrzmiały i ucichły. Dopóki huczały, otrzymywała niekiedy młoda wdowa wieści o tych sądach i domysłach i o zgorszeniu okolicy. Ale wieści te nie raniły już serca, nie zajmowały umysłu.

Na bruku lwowskim trzeba było pomyśleć o zabiegach, ażeby zdobyć zajęcie. W pierwszym roku znalazła zaraz tyle domów, tyle amateerek muzyki, że nie mogła prawie wydołać. Nie wszędzie uczęszczała z przyjemnością. Raziły ją szczególnie domy mieszczańskie. Ale dobre jej serce starało się i tutaj odkryć strony dodatnie. Pomału przywykła do rozmaitych potwornych uprzedzeń, a później umiała je zręcznie usuwać z umysłów młodych. Starszym

imponowała rozumem i taktem, szanowano więc jej zdanie.

W drugim roku było jej już dobrze, jeżeli dobrem nazywa kto byt zapewniony, względne wygody, zdobyte własną pracą i samotność.

W drugim też roku mogła już innym oddawać usługi bezinteresowne. Ona nazywała lekcyę udzielane bezpłatnie ubogim paniąkom, usługą, lubo w istocie były te lekcyę dobrodziejstwem dla biednych, a utalentowanych. A jednak te właśnie lekcyę muzyki sprawiały jej rozkosz nieopisaną.

Na lekcyę te spieszyła z gorączkowym pośpiechem. Tak samo niecierpliwie czekała na uczennice, które przychodziły do niej, do jej mieszkania.

Mieszkanie to, składające się z dwóch pokoi i przedpokoju, mówiło na pierwszy rzut oka, że zajmuje je osoba, dla której sztuka stała się jednym ze źródeł pociechy. Pokój pierwszy, obszerniejszy nieco, przeobrażony został na salonik, przyćmiony trochę ciemno-błękitnymi kotarami. Pamiątka z domu, fortepian piękny z pracowni jednego z lepszych mistrzów wiedeńskich, stał zwrócony klawiaturą ku oknu. Biust Szopena na kolumnie imitującej doskonale marmur, pomieszczony został w sąsiedztwie artystycznego instrumentu. W drugim końcu pokoju obok gustownej orzechowej szafy

bibliotecznej, stały po obu stronach biusty Słowackiego i Mickiewicza.

Drugi pokój był sypialnią. Urządzony był z możliwą wygodą. Właścicielka nie słyszała tu własnych kroków, przechadzając się, całą bowiem posadzkę pokrywał dywan, także pamiętka z buduaru niegdyś matki pani Jadwigi. Bliżej okna biurko, a na niem prócz książek, mnóstwo drobnych pamiątek. Na ścianie nad łóżkiem oprócz Matki Boskiej Częstochowskiej, umieszczone były dwa portrety: mężczyzna w stroju wojskowym i kobieta, której oblicze zdawało się uśmiechać. Byli to ojciec i matka pani Jadwigi.

Do tego pokoju uciekała często pani Jadwiga, ile razy rozpoczęła przechadzkę po saloniku, uciekała, ażeby nie słyszeć własnych kroków. Nie zawsze bowiem usiedzieć mogła w domu bez ruchu, lubo użyła go dosyć biegając z lekcyi na lekcję.

Rzadkie to były chwile, w których drażniło ją nawet echo kroków własnych, ale były, a ponawiały się zawsze, ile razy pomyślała o miłości Rotułowskiego. Myśli tych nie nawoływała, przybywały same ze wspomnieniem: o okolicach, w których spędziła wiosnę samodzielnej młodości. Kiedy wspomnienie to zaniepokoiło jej umysł, kiedy serce odzywało się głośniejsz, powtarzała w duchu zawsze jedno

pytanie: Czemu ten człowiek jest egoistą? Gdyby była mogła powiedzieć, że nie jest nim, któż wie, byłaby może miłość jej wzrosła, byłaby może wyznała choćby przed sobą samą, że kocha go, że kochać go będzie do śmierci. Ale w chwili takiej łączyły się ze wspomnieniem o wyznaniu Rotułowskiego, jego uczynki, jego dziwna oziębłość dla całego niemal świata, jego nakoniec ironia, przerażająca się niekiedy w cynizm.

Skoro myśl jej zatrzymała się na tym punkcie, wówczas siadała, opierała głowę na pięknej rączce i znowu myślała. Ale teraz lżej się jej robiło na sercu, a myśl płynęła w kierunku odśrodkowym. Nie lepiejże — myślała — posiadać życzliwość ludzi, niż ich niechęć? Nie lepiej kochać, niż nienawidzić? Nie dziwnyż to człowiek? Mówił, że mię kocha, a jest pesymistą. Nie! to kłamstwo! Ukochał chyba moją postać, twarz moją, oczy, ukochał jako człowiek zmysłowy. Ależ moje ciało to przecież nie całe ja! Gdy dla mnie poświęcenie rozkoszą, on okazuje wzgardę ludziom ubogim.

Nie! Wyraz przeczenia tego wymawiała czasem tak głośno, że budził ją z zamyślenia. Wówczas chwytала zegarek i przekonywała się, że czas spieszyć do obowiązku. Jedno ją gniew-

wało, że czas spędzony w domu na wspomnieniu, że ten czas tak szybko mijał.

— Gotowam się rozmiłować w tych wspomnieniach — mówiła w duszy. — O! nic z tego, bo czekają na mnie uczennice moje, ach, i wiele osób życzliwych. Świat ten nie jest przecież tak zły, gdy można małemi ofiarami zdobywać serca ludzkie.

Dziś właśnie ocknęła się wcześniej z zamyslenia i wcześniej też zakończyła lekcje obowiązkowe. Do domu powracała z jedną z młodszych uczennic, które zobowiązała się uczyć z dobrego serca, z zamiłowania, w nadziei, że ze zdolności dość pokaźnej urosnie z czasem talent.

Przybywszy do domu, zastała drzwi mieszkania zamknięte. W tej chwili przypomniała sobie, że poleciła służącej pójść z przegrane-mi nutami do księgarni. Wychodząc z domu, mówiła, że nie wróci przed godziną piątą, a było dopiero wpół do piątej.

U progu swego mieszkania zatrzymała się pani Jadwiga i zwracając się do uczennicy, młodego dziewczęcia o fiołkowych oczach, zagadnęła:

— Basiuniu moja, pójdziemy na drugą stronę do właścicielki kamienicy, ona pozwoli nam na chwilę swego fortepianu.

Rzekłszy to, weszła z Basią do znanego.

już salonu państwa Wiórkiewiczów. Zostały tam tylko panią Katarzynę. Ze zwykłą sobie uprzejmością powitała Jadwiga gospodynię i zagadnęła:

— Witam panią! Jak to doskonale, że panią zastaję. Wielką mam prośbę. Oto widzi pani, wracam z uczennicą i nie zastaję mojej służącej. Nie chcąc tracić czasu, przyszliśmy tutaj rozpocząć lekcję. Czy pozwoli pani?

W ciągu kilkuletniej praktyki nabyła pani Jadwiga wprawy w przemawianiu do pań, obywaterek lwowskich i nigdy nie przemawiała bez skutku. Pani Katarzyna odparła uprzejmie:

— Proszę, proszę, bez ceremonii. Ale któż to jest ta młoda panienka?

— Panna Barbara Stuk, bardzo grzeczna i pilna moja uczennica.

Pani domu zbliżyła się do Jadwigi i rzekła po tej rekomendacyi półgłosem:

— Proszę pani... Stuk? Stuk? Czy to nie szewcówna?

Pani Jadwiga potwierdziła domysł.

— Proszę kogo, no, proszę kogo — wymówiła Katarzyna kręcąc głową.

Nauczycielka i uczennica nie słyszały już tej uwagi i nie spostrzegły zdziwienia, bo zajęte były fortepianem, a Basia wykonywała już huczną introdukcję jakiegoś ćwiczonego utworu.

Gdy szanowna obywatelka Lwowa dziwi się, że szewcówna gra na fortepianie, gdy Jadwiga i uczennica zajęte muzyką, otwierają się drzwi dalszych pokoi i powraca Aniela, a spostrzegając niedawną swoją nauczycielkę, woła:

— Ach! pani Jadwiga. Mieszkamy w jednym domu, a jużem pani z tydzień nie widziała.

Ale w tem oglądnąwszy się, spostrzegła ojca we drzwiach. Odwróciła się więc czempędzej z uwagą:

— Proszę, ojczulku, albo się przebrać, albo wrócić. Jakże można w szlafroku, gdy gościem dama...

Ale Wiórkiewicz opierał się, a nareszcie dość głośno zawołał przez drzwi:

— Chciałem się dowiedzieć, kto to tak bębni na *naszym* fortepianie?

Katarzyna, gotowa zawsze ratować sytuację, pospieszyła do męża z upomnieniem:

— To weźże i włóż jaki surdut na siebie.

Panie przy fortepianie a małżeństwo przy drzwiach rozmawiali tak chwilkę, poczem Wiórkiewicz wpadając nagle, zawołał:

— Teraz przecie nie wypędzicie mnie, jużem ubrany.

— O cóż ci idzie? — zapytała małżonka.

— Jakto, o co idzie? Jest ktoś obcy w mo-

im domu i nie mam pytać? Mam do tego prawo.

— Któż obcy? Panią Jadwigę znasz! — wymówiła to Katarzyna, srożąc się niby.

— Ale ta druga — nalegał Wiórkiewicz zachodząc ze wszystkich stron, bo Basię zasłaniały mu nie myśląc o tem Aniela i Jadwiga. — No, to młode? — dodał.

Katarzyna zbliżywszy się i wspiąwszy nieco do ucha, szepnęła mężowi:

— To jakaś panna Stuk!

— Stuk? naprawdę? — wrzasnął Wiórkiewicz tak głośno, aż się wszystkie panie ogładnęły. — To chyba córka szewca. — Wyraziwszy swój domysł, zbliżył się do pani Jadwigi i spytał:

— Niech mi też pani z łaski swojej powie, czy ta panna to córka Józefa Stuka?

— Tak! córka pana Józefa, moja uczennica.

— A! to już koniec świata! — zawołał znowu szanowny obywatel.

Z wejrzeniem politowania, skierowanem z góry na Wiórkiewicza, wyszły z ust Jadwigi następujące słowa:

— Cóż to panu zwiastuje ten koniec świata?

— Z tego — odparł Wiórkiewicz — nie można sobie drwinek robić...

Zona przerwała mu, trącając go silnie w ramię.

— Daj mi spokój — bronił się. — Muszę powiedzieć prawdę. Fe, to się nie godzi. Wprowadzać do mego domu szewcównę. Szewcówna uczy się na fortepianie, córka tego łapserdaka, którego musiał wyrzucić, bo mi nie płacił komornego. A tu fortepian! To nie tylko koniec świata, to *zwaryować* można.

Dziewczynka z fiołkowemi oczyma, usłyszawszy to, wstała od fortepianu i cisnąc chusteczkę do oczu, zbliżyła się do Jadwigi, która tuląc ją do siebie, zwróciła się równocześnie do Wiórkiewicza:

— Daruje pan, ale i ja powiem mu prawdę: takiej gościnności nie spodziewałam się po obywatelu, który się chępli swoim obywatelstwem. A po tem, czy to się godzi, tak napadać dziecka i ubliżać jej ojcu za to, że był nieszczęśliwy? Sam jesteś ojcem i nie zawsze byłeś, nie od razu zostałeś zamożnym...

— Byłem, byłem, jestem, — zaczął Wiórkiewicz — jestem radnym, mam kamienicę, majątek, a człowiek bez majątku zawsze...

— Cicho już. cicho! — przerwała Katarzyna, a Basia podnosząc oczka na swoją nauczycielkę, szeptała:

— Moja dobra! moja droga pani, chodźmy ztąd.

— Nie, moje dziecko — odparła Jadwiga.
— Ten pan, właściciel kamienicy, musi nas przeprosić. Zwracając się zaś do Wiórkiewicza zagadnęła głośno:

— Spodziewam się, że pan uznasz swoją porywczosć bez powodu i przeprosisz pannę Barbarę.

Słowa te wymówione były takim tonem, że Wiórkiewicz stracił swą butną fantazyę i zaczął się tłumaczyć:

— Ta ja nic złego nie miałem na myśli... tylko...

— Jeżeli pan nie zrobisz o co proszę, to żegnam panią i pannę Anielę.

Matka i córka zaprotestowały; matka zbliżywszy się do szanownego małżonka, szepnęła:

— Pomyśl no stary, czem była pani Jadwiga dla naszej Anielki.

Równie z cicha spytał Wiórkiewicz:

— To cóż ja mam zrobić?

— Przepraszaj — odparła Katarzyna.

Większość, a do tego większość sprzymierzonych sił niewieścich zwyciężyła, i Wiórkiewicz jak umiał najuprzejmiej przeprosił i nauczycielkę i podlotka. Jednak nie mógł ukryć zdumienia, bo rzekł na stronie do żony:

— Gadajcie sobie co chcecie, ale ja taki powtórzę: Czy to może być dobrze, żeby taka szewcówna obrażała się jak jaka dama?

Pani Katarzyna radziła na to, ażeby małżonek poszedł się przespać, gdyż spodziewany jest gość, ale Wiórkiewicz odparł, że już „djabli“ porwali sen, jednak pójdzie i spróbuje. Wziąwszy zaś to postanowienie, pożegnał obecnych zwyczajowem: Padam do nóg państwu.

Aniela uszczęśliwiona zdobytym od ojca kapitałem na książki, zaczęła się teraz zwierzać pani Jadwidze i kreślić swoje zamysły. Zapraszała ją, by zechciała towarzyszyć do księgarni i pomogła zrobić wybór odpowiedni. Zdziwiona nieco tym pospiechem spytała pani Jadwiga?

— Czemuż to jednak tak pilno pannie Anieli?

Aniela przyznała się jakoś nie bardzo śmiało, że pragnie salonowi swoich rodziców nadać cechę przybytku ludzi, o których inteligencji świadczyłoby cokolwiek, więc i książki i ilustracya jakaś i czasopisma perjodyczne.

Jadwiga od razu pojęła niezupełnie szczerą spowiedź swojej uczennicy i powiedziała:

— Panno Anielo, źle robisz! — A stosując dalszą uwagę i do matki, dodała: — Czy chcecie państwo tylko pozorami zjednać sobie przyjaciela?

Aniela znowu się usiłowała wymówić, ale równocześnie i zdradziła się, że koniecznie życzyła sobie tego jeszcze wieczora położyć na

stole salonu kilka książek. Zagadnięta o zdanie matka Anieli, odpowiedziała prostodusznie, że nie zna się na tem.

- Kocham panią i szanuję za jej otwartość — rzekła Jadwiga do Katarzyny.

— Mnie — rzekła spuszcając oczy Katarzyna — wystarczy mój rozum mieszczański.

Pani Jadwiga notowała sobie w pamięci podobne objawy prostoty i bezpretensjonalności, które spotykała częściej w niewieścim świecie mieszczańskim, niż w gronie ambitnych obywateli. Objawy, jak powyższy, przekonywały ją o sercu. Mimo nagany udzielonej Anieli, nie sprzeciwiała się jednak pani Jadwiga życzeniu Anieli i obiecała jej przysłać przez Basię kilkanaście książek do wyboru, by niemi przystroić stolik.

— Jeżeli — dodała — panna Aniela życzy sobie koniecznie zabawić się w komedyjkę.

— Tak to pani uważa?

— Później pomówimy o tem — odparła Jadwiga.

Posłała Basię, ażeby zobaczyła, czy służąca powróciła już z nutami, a jeżeli tak, żeby przyniosła kilkanaście książek z niezamkniętej biblioteki. Basia wybiegła, a w tem i pani Katarzyna wyszła zakrzętnąć się, ażeby poczynić odpowiednie przygotowania na przyjęcie gościa.

III.

W salonie pozostały same Jadwiga i Aniela.

Młoda kobieta spojrzała z widoczną życzliwością na panienkę w kwiecie wieku, ujęła ją za rękę i poprowadziwszy do małej między oknami sofki, usiadła sama i wezwawszy Anielę, żeby przy niej zajęła miejsce, rzekła tonem żartobliwym:

— Panno Anielo, przyznajże się teraz, na kogo to zastawione siodła:

— Pani mię zawstydza. Siodła to nie...

Jadwiga spostrzegła pewną ukrywaną irytację w Anieli, przerwała więc spiesźnie:

— No, pozwól mi żartować trochę i nie gniewaj się, że jestem otwartą.

— Otwarcie się więc przyznam — odparła Aniela z westchnieniem — że bardzo mi się podobał niejaki pan Horodziej.

Jadwiga poruszyła się, jakby zaniepokojona. Nazwisko to rozbudziło w jej duszy znowu wielką rzeszę wspomnień i cały szereg obrazów. Jedno oka mgnienie, jedno nazwisko odmalowało tyle wypadków, że na opisanie ich szczegółowe za mało byłoby tomu całego. Wszystko to w jednej, przelotnej, krótkiej chwili, w sekundzie i minucie. Stłumiwszy atoli siłą swej woli te obrazy, powtórzyła tylko z cicha, z pozornym spokojem:

— Horodziej? Horodziej?

— Zna go pani? — pytała Aniela?

Nie otrzymała odpowiedzi zaraz. Jadwiga zastanowiła się, poczem w istocie zupełnie już spokojna, odparła:

— Znam go dawno.

Ucieszona tem, wypowiedziała Aniela prawie bez wytchnienia:

— Otóż ma dziś być pierwszy raz u nas. Chciał koniecznie w południe, ale ja wiem, że ojciec nie lubi tych ceremonij, zgodził się więc złamać formalność i obiecał nam przybyć wieczór. Jeżeli więc robię przygotowania, to niech mię pani nie posądza, żebym go chciała okłamywać pozorami. Robię to dla ojca i matki, dla domu.

— A jednak źle robisz — rzekła na to młoda kobieta. — Niech pozna wszystkich takimi, jakimi są. Prostota i prostactwo nie są występkiem, ale komedya jest szkaradną, rozumiesz mnie, panno Anielo? Komedya w życiu?

To sam na sam młodych kobiet przerwała Basia, wnosząc oburącz ładnie oprawne tomy poetów i składając je na stole w pośrodku salonu.

Tuż za nią weszła potężnej tuszy kobieta, nie pierwszej młodości, ale nie brzydka. Wchodząc, od progu już podniesionym głosem wołała:

— Dobry wieczór państwu! dobry wieczór! I nie zważając, że nikt jej nie odpowiada, ciągnęła dalej:

— Pani Katarzyna z córką baluje się, słyszę.

Doszedłszy odedrzwi do sofki, stanęła nagle i spojrzawszy na obcą jej postać Jadwigi, dodała:

— A! a! to nie pani sąsiadka.

— Owszem — odparła Aniela, powstawszy. Sąsiadka, i to najbliższa, bo mieszkamy w jednym domu.

Następnie przedstawiła Jadwidze przybyłą z dodatkiem:

— Pani Otylska, właścicielka realności.

— Kamienicy pani, kamienicy — poprawiła Otylska. — Alebym ją chciała jak najprędzej sprzedać, bo z tym „maistratem“ to prawdziwe utrapienie. „Maistrat“ sobie, a lokatorzy sobie nie pozwalają człowiekowi żyć spokojnie. Ale gdzie to pani sąsiadka? — pytała rozglądając się. — Mam jej powiedzieć coś bardzo ciekawego, za co by się może pan Wiórkiewicz pogniewał, bo on ma pasyę do gniewania się. Oto proszę państwa... Ale szkoda, że nie ma pani Katarzyny. Aha, otóż co mnie spotkało. Idę sobie dziś rano ulicą, a za mną ciągle jakiś chłop, po prostu napięty mi włazi...

— Chłop?! — wymówiły Jadwiga i Aniela jednocześnie.

— E, nie! To uważacie panie, ja tak każdego mężczyznę nazywam, bo to jak człowiek przywyknie... Idę, a chłop włązi mi na pięty, ba, a nareszcie zagląda mi w oczy. Myślę sobie, oszalał chłopisko albo się pomylił. A potem myślę, może ja jeszcze nie taka stara, bo co prawda, to świeci się jeszcze pysio, to może się zadurzył we mnie...

— Pani daruje — że muszę przerwać — rzekła powstając Jadwiga. — Muszę kończyć lekcję.

Pani Otylska spojrzała nieco zdziwiona, że nie chcą słuchać jej ciekawego zdarzenia i przeszła ku przeciwnemu wejściu salonu. Aniela, chwyciwszy tymczasem z pośpiechem rękę Jadwigi, błagała:

— Nie odchodź pani, pomóż mi pozbyć się tej kamienicznej sąsiadki.

— Z życzliwości dla ciebie Anielo — odparła Jadwiga — powiem jej, że pani Katarzyna wspominała o niej, to może pójdzie dalej. Jakoż w samej rzeczy pani Otylska postanowiła szukać sąsiadki choćby w kuchni i wyszła z salonu.

— Wie pani teraz — zagadnęła Aniela, na jakie skazana jestem tortury. Jeżeli sąsiadka ta zechce przedłużyć swoją wizytę, a nadej-

dzie pan Horodziej, to chyba spałę się ze wstydu.

Jadwiga skarciła była uczennicę za fałszywy wstyd i dodała:

— Moja droga Anielko, pamiętaj, że odpowiadasz tylko za siebie. Powtórzę, com już mówiła: lepiej niech ten nowy gość od razu się nie łudzi, niech pozna otoczenie twoje. Do widzenia, Basiu pójdźmy skończyć lekcję.

— Ale pani powróci? — pytała Aniela.

— Za pół godziny — zapewniła Jadwiga.

Rzekłszy to zbliżyła się z Basią ku drzwiom, które się nagle otwarły i stanął w progu mężczyzna nie zbyt dystyngowany, o rumianych policzkach i zawieszistym jasnym wąsie. Zamiast usunąć się spiesznie i zrobić wychodzącym paniom swobodne przejście, zatrzymał się, popatrzył nie tak impertynencko, jak raczej ciekawie i dopiero wszedł, a wszedłszy, jeszcze się zwrócił za przymykającymi drzwiami i głośno objawił swoje zdanie:

— To faktycznie jakiś przyjemny naród.

Zobaczyła i usłyszała go Aniela, i widocznie niezadowolona z tych nowych odwiedzin przyjaciół ojca, wymówiła półgłosem:

— Otóż jest i faktycznie. Następnie skinąwszy głową na znak powitania, spytała:

— Cóż za naród pan wynalazłeś?

— Upadam do nóżek — rzekł na to przy-

były. Pani, faktycznie mówię: przyjemny naród, to znaczy piękne panie. Co to pani, faktycznie, za postawa u tej pani, która wyszła. Faktycznie jak jaka hrabina.

Aniela uśmiechnęła się na to porównanie i odezwała się tonem, któryby mógł kogo innego obrazić:

— Więc pan Filipkiewicz sądzi, że hrabina tylko może być imponująca z postawy?

Pan Filipkiewicz, współnik rozmaitych przedsięwzięć spekulacyjnych Wiórkiewicza, zrozumiał po swojemu to pytanie i odrzekł:

— Przepraszam, ja nie miałem faktycznie zamiaru ubliżyć naszemu mieszczańskiemu stanowi, ale takie porównanie jest absolutnie doskonałe.

— Absolutnie? — powtórzyła Aniela, która miała pasję droczyć się ze znajomymi ojca. Jeżeli zwłaszcza trafiło to Filipkiewicza, nie przepuściła i jednego słowa obcego, które Filipkiewicz używał często najniestosowniej. Tłómacząc się potem, wykladał ich znaczenie i najczęściej poplątał się tak, że nie mógł z tego wybrnąć. Dziś jednak Filipkiewicz nie miał ochoty służyć za cel pocisków i spytawszy o pana domu, poszedł do jego pokoju.

Utrapienie Anieli nie kończyło się wszakże, z drugiej strony bowiem, w sąsiednim pokoju słyszała altowy głos pani Otylskiej, która wi-

docznie nie miała zamiaru pożegnać rychło sąsiadki. Rzeczywiście głosy się zbliżały, a w końcu weszła pani Katarzyna z Otylską do salonu, która kończyła opowiadanie swojej przygody.

— Będzie on dziś z wizytą u państwa. Bo powiadam pani, żal mi chłopca. Myślałam, że on do kogoś przemennie, a to wie pani, do mnie? Jak buchnął przedemną na kolana, to aż ziemia stęknęła.

— No, to życzę szczęścia, życzę szczęścia — mówiła zniecierpliwiona Katarzyna, spoglądając na córkę.

— Niech mi tam pani nie życzy — odparła Otylska, bo Letkiewicz podobno hołysz. Chciałby się przysunąć do ciepłej wdowy, ot, i cała historia.

Aniela wzdychała ciężko. Nie było widoku pozbycia się nieproszonych gości, a co gorzej, goście ci nie siedzieli w pokojach ojca i matki, ale cisnęli się dziś jak na złość do salonu.

Z przeciwnej strony powracał tutaj znowu z Wiórkiewiczem Filipkiewicz i głośno rozprawiał o jakimś interesie, do którego trzeba było zabezpieczenia na hipoteczce.

— Jak tylko moja ciotka umrze — mówił głośno Filipkiewicz, to ja panu pozwolę zahipotekować się na mojej kamienicy.

— Ale bo pan już od roku... — przerwał Wiórkiewicz.

— Teraz to już *faktycznie* umrze — poprawił Filipkiewicz. Powiedzieli *doktorzy*.

— Jakaż nieczemność! — szepnęła Aniela do matki. Otylska zaś dosłyszawszy to odezwała się głośno:

— Niech się pani nie dziwi, *wszystkie chłopcy jednakie*.

— To już *faktycznie* do mnie — wtrącił Filipkiewicz, podchodząc do pań.— Pani masz do mnie zawsze jakąś *anse*, choć ja faktycznie nie wiem za co.

— Nic do pana nie mam — zahuczała Otylska. — Mówię tylko, że wszystkie chłopcy na jedno kopyto.

— Zlitujcie się! — wołał Wiórkiewicz — dajcie pokój i chłopom i babom. Lepiejby było — dodał zwracając się do żony, żebeś Kasiuniu kazała dać co przekąsić.

Katarzyna porozumiewała się w tej chwili milcząco z córką, a po znaczącem skinieniu Anieli, powiedziała:

— To chodźcie państwo do jadalnego pokoju.

— Co tam te ceremonie — ofuknął Wiórkiewicz. — Każ tutaj przynieść cokolwiek zjeść i wina.

Rzekłszy to, zwrócił się w stronę pokoju pani i krzyknął kilka razy:

— Franka! Franiu!

Na zawołanie to wbiegła młoda dziewczyna i stanęła czekając dalszych rozkazów. Czekala jednak chwilę, nim pan z panią zgodzili się, żeby stół już zastawiony, przenieść z pokoju jadalnego do salonu. Pokojówka chciała już odejść, gdy Wiórkiewicz zawrócił ją ponownie rozkazem:

— Słyszysz Franka! pozaświecaj najpierw świece w żyrandolu.

Posłuszna Franka stanęła na środku salonu i próbowała uchwycić żyrandol, lecz trzaskając się napróżno, zawołała:

— Nie dosięgnę.

— Ja panienkę podsadzę — odezwał się Filipkiewicz podbiegając i zamierzając wykonać, co powiedział. Już się pochylił i miał objąć dziewczynę, gdy ta stłumionym głosem wymówiła z przyciskiem:

— Ej, jak pana trzasnę w pysk!

Wiórkiewicz i Otylska wybuchnęli głośnym śmiechem. Aniela oburzona szepnęła do matki:

— Niech też mama nie pozwala... Boże! co się dzieje w naszym domu.

— Moje dziecko, cóż poradzę, kiedy się im to podoba.

— Ależ mamciu, jako gospodyni... — za-

częła Aniela, gdy w tem otworzono drzwi salonu z łoskotem. Frania ze służącym nieśli stół obładowany przekąską i ozdobiony kilku butelkami wina.

Równocześnie skrzypnęły drzwi od strony korytarza i pojawiła się nowa figura. Człowieczek mały, pretensjonalnie ubrany, o twarzy pospolitej z hiszpanką na brodzie ryżawą i takimiż wąsami.

Wszedł i komicznym dygiem powitał panie. Ukłonowi temu towarzyszyły słowa:

— Ruci całuję paniom! padam do nóg panu dobrodziejowi. Interes panie dobrodzieju złoty.

— He! — bąknął Wiórkiewicz. — Interes, mówisz pan? Dziś ja panie Letkiewicz zmęczony. Ale wiesz co, kiedyś dobrze trafił to napij się z nami wina. Doskonałe, powiadam państwu.

Gdy wszyscy zajęci stołem, pełnym darów bożych, gdy pani Otylska prawiała dalej Katarzynie o swych przygodach, Anieli, która usnęła się we framugę jednego z okien na płacz się zbierało.

— Boże! — szeptała — jakież to komplet okropny! Jakież to dzień dla mnie straszny. Co począć?

Namyśliła się widać, bo po cichu, nie zwracając uwagi znajomych i sąsiadki obywatela,

wymknęła się z salonu i pobięła przez korytarz do mieszkania pani Jadwigi.

IV.

Jadwiga po ukończonej lekcyi z Basią, odprawiała ją do domu, lubo niechętnie, gdyż wywołane nazwiskiem Horodzieja wspomnienia nabawiły ją znowu niepokoju. Gdyby nie tak późno, byłaby chętnie zatrzymała u siebie dłużej to dziewczę, byłaby znalazła zajęcie jakieś, ażeby odpędzić myśl o przeszłości.

Przeszłość?! Czy w przeszłości tej wszystko było tak przykre, tak bolesne, ażeby pogrzebanie jej stawało się koniecznością?

Kiedy sobie zadawała to pytanie, serce odpowiadało, że nie! Ale na nieszczęście, musiała sobie powiedzieć, że właśnie człowiek, który mógł rozjaśnić jej przyszłość, zranił jej serce, ubliżył jej pojęciom o godności i zadaniu, które kobieta może spełnić. On nie uznawał jej działania, a zatem jej samodzielności, nie pojmował, czy nie chciał pojąć, że i między dwiema samodzielnościami nastąpić może harmonia. Im dłużej myślała tak o Rotułowskim, tembardziej się przekonywała, że wszystko to on mógł, że był zdolny pojąć. A zatem pojąć nie chciał. To ją oburzało.

W tych rozmyślaniach pogrążoną zastała

Aniela. Jadwiga nie gniewała się za to oderwanie od wspomnień. Ale jakże małemi wydały się jej żale i skargi Anieli, która przybiegła narzekając, że obecnością ludzi bez wychowania skompromituje się dom jej rodziców w oczach gościa, na którego czekano; że właśnie tak się złożyło jakby na przekór, że zebrali się znajomi, których tylko interesa łączyły z jej ojcem i to w dniu, w którym po raz pierwszy miał wejść w dom człowiek z innej sfery.

— O, ja nieszczęśliwa! — wołała Aniela załamując ręce. Skoro raz zobaczy mię w takim towarzystwie, nie przyjdzie więcej.

Aniela odebrała znowu burę od swojej mentorki.

— Wszystko to — skończyła Jadwiga — albo prawie wszystko urojenia. Dąsaniem się nie przerobisz świata, w którym się urodziłaś. Zresztą, moja panno Anielo, nie zapominaj, że rodzice twoi postarali się o to, ażeby ci dać inne wychowanie. Więc ty młoda, będziesz inną, ale nie żądaj od starszych, aby się na starość zmienili.

— Ach, ja tego nie żądam, pani wie, że nie żądam; jabym tylko pragnęła mniej takich znajomości, jak te, o których pani wie dobrze.

— I to niepodobne do urzeczywistnienia. Ale dam ci radę, którą już wiele razy sły-

szalaś odemnie: bądź naturalną, nie krępuj się tem, że inni grzeszą brakiem wychowania, bo to nie twoja wina, ani ich wina.

— Ach! — westchnęła Aniela — gdyby wszyscy zechcieli być tak wyrozumiali jak pani.

— Każdy jest takim, kto ma zdrowy rozsądek i zna trochę świat i ludzi.

— Byłabym zupełnie spokojną, gdyby pani zechciała pójść do nas?

Jadwiga zamysliła się, zawahała, ale trwało to bardzo krótko. Zbliżyła się do zwierciadła, poprawiła bujne swoje sploty włosów na głowie i rzekła:

— Dobrze, idźmy.

Rzekłszy to, przeszła z Anielą mały korytarz, a wchodząc do salonu, skinęła uprzejmie głową i rzekła:

— Witam państwa.

Pomineła stół zastawiony dla ucztujących, bliżej wejścia głównego i zbliżyła się z Anielą do fotelów około stolika na środku. Tam usiadły. Jadwiga skinęła uprzejmie na Katarzynę, która zajęła miejsce obok niej i córki. Tylko pani Otylska wahała się przez chwilę, a namysliwszy się, rzekła:

— Ja już wolę przysiąc się do panów.

W tem przy stole panów odezwał się głos:

— Zdrowie gospodarza!

— Bóg zapłać — odparł Wiórkiewicz.

Panowie Filipkiewicz i Letkiewicz oglądali się przez chwilę w stronę pań, w końcu zapytał Letkiewicz sąsiada:

— Co to za dama?

Mówiąc to wskazywał na Jadwigę.

— At, dama — odparł półgłosem gospodarz. — To panie gołe a dumne, nauczycielka od fortepianu.

Udający czytanego pan Filipkiewicz dodał:

— Niby faktycznie pianistka?

Rozwiązał się język i pani Otylskiej a krytyka jej tak brzmiała:

— A chodzi to państwo, jak stepowa kobyła. Zadziiera głowę, aż się niedobrze robi. Fumy pańskie, a kieszenie dziadowskie.

Ta półgłosem objawiona opinia bogatej mieszczaneki, wywołała huczny śmiech panów.

Siedzące przy drugim stoliku panie nie wiedziały, z czego się śmiano tak serdecznie, Jadwiga jednak skorzystała ze sposobności i rzekła głosem podniesionym.

— Otóż to aż miło w takim wesołym towarzystwie.

Powiedzenie to zmieniło w oka mgnieniu opinię biesiadników.

— A wiecie państwo — rzekł półgłosem sam gospodarz — że to przecie rozumna osoba.

— Faktycznie rozumna — potwierdził Filipkiewicz.

Pani Otylska uważała za stosowne objawić głośno swoją opinię. Rzekła też głosem górującym nad szmerem rozmowy panów:

— O! co kobieta, to kobieta! *taki* zawsze ma serce dobre, choć niby pani.

Dalsze uwagi przerwało otwarcie drzwi i wejście nowej osoby do salonu. Panie w głębi nie zwróciły w pierwszej chwili uwagi, dopiero głos przybyłego skierował ich spojrzenia w stronę biesiadników. Jadwiga nie odwróciła się nawet, ale na głos ten zadrżała, potrafiła jednak ukryć zmieszanie. Nowo przybyły nie należał ani z postawy sztywnej nieco i dumnej, ani z wejrzenia do sfery tej, w której obracają się Letkiewicze. Jakkolwiek skłonił się grzecznie obecnym, było jednak coś w tej uprzejmości, co zmieszało panów. Gdy się zatrzymał przy stole, rzekł:

— W kim z panów mam honor witać gospodarza?

Na słowa te zerwali się wszyscy trzej od stołu, a Wiórkiewicz, ocierając usta serwetą i połykając niedojedzony kąsek, zaczął:

— Ja to... niby jestem gospodarzem..

Rotułowski, gdyż on to był, przedstawił się i spytał:

— Czy mam zaszczyt i jego małżonkę witać?

Mówiąc to spojrzął na znajdującą się w gro-

nie panów Otylską, która pospieszyła z zaprzeczeniem.

— Kasiu! — zawołał Wiórkiewicz, a biorąc żonę za rękę, dodał:

— Oto moja żona.

Za matką postąpiła kilka kroków i Aniela, Jadwiga tylko ciągle odwrócona, pozostała w głębi.

Znalazłszy się w obliczu małżonków rzekł Rotułowski:

— Spełniam zlecenie mego przyjaciela Horodzieja. Niedawno miał on honor poznać...

I nie kończąc zdania, spojrział na Anielę, gdy Wiórkiewicz powtórzył:

— A tak, niedawno mieliśmy honor...

— Przyjaciel mój — ciągnął Rotułowski, — cieszył się, że będzie dziś w tym domu z pierwszą wizytą. Niestety! nie mógł dotrzymać słowa, ponieważ zachorował.

Z piersi Anieli wymknęło się ciche westchnienie. W tej chwili powstała Jadwiga, zbliżając się w stronę grupy osób przy drugim stole.

Na widok Jadwigi oniemiał Rotułowski i skłonił się tylko w milczeniu. Jadwigę uprzedził głos jego, miała więc czas ochłonąć. Dostyc zatem swobodnie, wyciągając ku niemu rękę na powitanie, spytała:

— Czy przyjaciel pański tak niebezpiecznie i tak nagle zachorował?

— W samej rzeczy nagle — odparł Rotułowski.

Jadwiga postrzegłszy blednącą obok siebie Anielę, dodała:

— To zapewne jakaś tylko niedyspozycya chwilowa?

Gdy Rotułowski milczał, zbliżyła się Jadwiga zręcznie i wymówiła cicho ale dobitnie:

— Potwierdźże pan.

— Tak! — odparł na to głośno. — Spodziewam się, że to minie. — Poczem również z cicha dodał: — Panią nie opuszcza talent inkwizytorski.

— A pana chęć znęcania się nad ludźmi.

Wymiana tych zdań odbyła się tak szybko, że obecni, zaaferowani nieco, prawie nie spostrzegli tej na prędce stoczonej walki.

Rotułowski stał jak na węglach rozpalonych, czuł się tu w nieswoim żywiole i chciał prędko skończyć, zwracając się więc ponownie do Wiórkiewicza, rzekł:

Spełniwszy zlecony mi obowiązek, mam honor pożegnać.

— O! za pozwoleniem — zawołał na to gospodarz. — Kiedy nas pan zastał tak przy pełnych kieliszkach, to nie pogardzisz chudo-pacholskiem towarzystwem.

— Nikim nie gardzę — brzmiała chłodna odpowiedź.

I byłby się może wymknął, bo mieszczanin nie umiał sobie radzić, choć chciał rzeczywiście ugościć, ale Jadwiga jak duch przekorny dodała:

— Prosimy o dowód.

— Pani każesz? — spytał z przyciskiem Rotułowski.

— Proszę.

Rotułowski postawił z flegmą cylinder na fotelu i przyjął podany na tacy kieliszek, a pani Jadwiga ze złośliwym jakimś uśmiechem zawołała:

— Wychylcież państwo zdrowie tego pana!

V.

Nazajutrz rano po przymusowej wizycie u Wiórkiewiczów, poszedł Rotułowski do Horodzieja, który od kilku miesięcy mieszkał we Lwowie. Nie zatrzymywały go tutaj interesa, jak pisał kilka razy do matki, ale zatrzymywała go w istocie kielkująca w sercu jego miłość dla panny Anieli. Spotkał ją kilka razy w towarzystwie innych wielu młodych pań i panien w kasynie miejskiem. W pierwszej chwili zajął się nią tylko, nie zdając sobie sprawy z uczucia. Wkrótce jednak doszło do

tego, że szukał jej towarzystwa, i jak już wiemy, przyjął zaproszenie.

Wiadomo, że nie dotrzymał słowa, lubo nie choroba była przyczyną, ale przybycie matki, którą wezwał do Lwowa Rotułowski, zgorszony tem, że przyjaciel jego Andrzej, miał się „pospolitować w sferze mieszczańskiej.“

Andrzej chodził właśnie znieczcierpliwiony po pokoju, zapalał coraz nowego papierosa i odrzucał, gdy wszedł Rotułowski.

Andrzej powitał go wyrzutami:

— Nareszcie jesteś. Czekałem cię wczoraj do późna. Niepokój odebrał mi sen. Głowa mnie boli, a za wszystko tobie chyba podziękuję.

— Szkoda, żeś nie spał — zaczął Rotułowski z flegmą. Wypawszy się, byłbyś trzeźwiejszy i nie miałbyś do mnie pretensyi.

— Nie mówmy o pretensjach! Powiedz mi raczej, jak się wywiązałeś z polecenia, jak cię przyjęto, kogo zastałeś?

— Zastałem menażeryę...

Słowa te, wymówione przez Rotułowskiego z akcentem ironii i spokojnie, wzburzyły Horodzieja. Nie pozwalając mu kończyć, zawołał:

— Jesteś... jesteś potwarcą!

— Mówię prawdę.

— Więcej złościwości, niż prawdy.

— Choćby tak było, jak mówisz a jak nie jest, dla mnie to prawda.

— W okularach przesądu— rzekł Andrzej z przyciskiem.

— Wiesz co — odparł Rotułowski — twoja obrona nieznannej ci sfery, jest szaleństwem zaślepienia.

— Mniejsza z tem, wolę zaślepienie, niż analizę, po której wszystko się czerni, jak w twoich oczach. Ale powiedz na koniec, jak cię przyjęto.

— To nie przerywaj.

Horodziej zapalił znowu świeży papieros, rzucił się na otomanę i rzekł:

— Milczę i słucham.

— Przyszedszy do państwa Wiór-kie-wiczów — zaczął Rotułowski — zastałem jakąś biesiadę i biesiadników grono. Przy drugim stole trzy panie. Jedna z nich...

Tu zaciął się i dodał:

— To jednak nie należy do rzeczy.

— Przepraszam, szczegółów nie pomijaj.

— A jeżeli to tajemnica mego serca?

Horodziej zerwał się z otomany i zawołał na poły z ironią i jakimś widocznym zadowoleniem:

— Jakto? przyznajesz się do serca i gubisz je w domu mieszczańskim?

— Nie tryumfuj, bo osoba, o której nadmieniałem, nie należy do tej sfery.

— A! — przerwał Horodziej — wtrąciło ją tam zapewne tylko nieszczęście?

Słowa te zachwiały nieco równowagę Rotułowskiego, odrzekł widocznie zirytowany:

— Zaczynasz się uczyć ironii, ale się mylisz. Wtrąciła ją tam duma.

— Kiedy tak, to przepraszam i ją i twoje zadraśnięte uczucie. Ale cóż dalej?

— W drugim gronie poznałem i pannę Anielę.

— I cóż? przerwał znowu Andrzej — nie piękna, nie inteligentna?

— Piękna — rzekł krótko Rotułowski. Kiedym powiedział, że nie przyszedłeś, bo zachorowałeś...

— Po cóż to kłamstwo! wybuchnął Horodziej.

— W twoim interesie. Choroba wymowniej tłómaczy niejawienie się z pierwszą wizytą.

— Przepadło więc, skoro już powiedziałeś. Ale kończ.

— Gdym to powiedział, z ust panny Anieli dobyło się stłumione: ach! i pobladła.

— Biedna panna Aniela! zawołał Horodziej i pochwyciwszy dzwonek, potrząsł nim kilka razy, a skoro wszedł sługa, rzekł szybko:

— Przygotuj mi frak, palto i kapelusz.

Ledwo służący wyszedł do drugiego pokoju, spytał Rotułowski:

— Dokądże to?

— Tam, gdzie powinien był pójść wczoraj. Rzekłszy to, zbliżył się Horodziejku drzwiom pokoju, do którego wszedł przed chwilą sługa. Rotułowski stanął w progu i rzekł:

— Chcesz więc zrobić głupstwo dziś, któremu wczoraj zapobiegła matka?

— Zapobiegła, pod wpływem twojej namowy. Malowałeś tak potwornie życie mieszczkańskie, że biedna kobieta musiała się przerazić.

— Malowałem wiernie, bo to w istocie potworne stosunki.

— Trzeba je zatem zmienić! — zawołał z przekonaniem Horodziej. Ale do przeobrażenia ich nie dopomoże unikanie styczności z tą sferą.

— Nie chcę ich wcale zmieniać — odparł Rotułowski równie szczerze. Każde takie usiłowanie potęguje jedynie butę i uroszczenia.

— Z uzasadnionymi roszczeniami ja zawsze się liczę — zaczął Horodziej, ale spór ten przyjaciół przerwało wejście sługi, który oznajmił, że przygotował, co mu kazano.

Horodziej wszedł do pokoju i zamknął drzwi, a Rotułowski stojąc na środku pokoju pierwszego, zwrócony w stronę drzwi przymkniętych, wymówił głosem podniesionym:

— Chcesz się koniecznie zadusić w atmosferze obskurantyzmu?

Słowa te słyszała lepiej matka Andrzeja, niż on, w chwili bowiem, gdy Andrzej wchodził do drugiego pokoju, ona weszła z korytarza i przy progu zrzuciła z siebie zarzutkę. Dosłyszawszy całe zdanie Rotułowskiego, zbliżyła się pomału i spytała nagle:

— Zygmuncie! co znaczą te słowa?

Rotułowski pochyliwszy się dla ucałowania jej ręki, rzekł:

— Przyjaciel mój, powstrzymany wczoraj przez najlepszą z matek, dziś na nowo chce popełnić niedorzeczność.

Staruszka spojrzała z pewnem niedowierzaniem na Rotułowskiego. Milcząc, zbliżyła się do otomany, usiadła, i jakby rozmyślając, mimo wiedzy wymówiła:

— Biedny mój Andrzej, biedny.

Po chwili milczenia, dodała:

— Mówisz, że zaślepiony?

— Pracuję właśnie nad tem, ażeby mu oczy otworzyć?

— A jeżeli usiłowania twoje nie pomogą?

— To pomoże prośba matki.

— Sam mówisz, że dziś zapomniał już o mojej prośbie.

— Matka nie powinna okazywać takiej

rezygnacyi — mniemał Rotułowski. To utwierdzi go w uporze.

Matka zastanowiła się znowu chwilkę, potem zagadnęła :

— Wiesz dobrze, że boję się tych stosunków nowych, obcych nam, ależ ja rozkazywać nie mam prawa. Wszak on człowiek dojrzały, wie co robi. Zresztą, mój Zygmuncie, może ty za czarno przedstawiłeś mi ten świat?

— Czy możesz mię pani uważać za kłamcę? — rzekł Rotułowski takim tonem, jakby się czuł obrażonym.

— A! mój kochany — odparła łagodnie staruszka — po co ta drażliwość przesadna? Matka nie posądza syna, a ty wszak byłeś prawie drugim moim synem. Ale powiedz otwarcie, czemu mój Andrzej inaczej widzi to, co ty uważasz za tak niepoprawne?

— Bo syn twój matko jest poetą, bo chciałby być twórcą czynów idealnie pomysłanych, bo patrzy na świat przez mgłę dobrego serca, nie jak trzydziesto-kilkuletni mąż, ale jak młodzieniec. Andrzej wierzy w Opatrzność, która się nie interesuje głupotą ludzką, wierzy...

— A! na Boga — przerwała matka porywając się nagle, jakby jej lat przybyło. Przeszła wzdłuż i w szerz pokój i znowu stając przed Rotułowskim rzekła z ubolewaniem:

— Zygmuncie! ty widzę straciłeś wiarę.

— Wiare? cóż nazywają wiarą?

— Ach! — westchnęła staruszka — gdyby przyjaciółka moja powstała z grobu, nie poznałaby syna swego.

— Dajmy pokój umarłym — rzekł chmurząc się Rotułowski.

Matka Andrzeja spojrzała ponownie baczniej na Rotułowskiego, powróciła na dawne swe miejsce i usiadłszy, rzekła :

— Teraz się domyślam, gdzie źródło tak nieprzychylnego mniemania o ludziach.

— Poznaj, matko, sama tych ludzi.

— Starać się o to będę — wymówiła matka stanowczo. W tej chwili wszedł z drugiego pokoju Andrzej we fraku a za nim służący, podając mu zarzutkę ciepłą. Postrzegłszy matkę, zbliżył się, powitał ucałowieniem jej ręki, a zapytany o cel wizyty, odpowiedział otwarciem.

— Więc tam koniecznie? — pytała matka — do tego domu mieszczańskiego?

— Tam — odpowiedział Andrzej — bo nie mogę nakazać milczeć sercu. Róbmy, jak nam każe sumienie, a resztę zostawmy Bogu.

Słowa te proste sprawiły na matce tak dziwne wrażenie, że Andrzej nie mógł pojąć naglej zmiany. Matka bowiem rozrzewniła się, rozplakała i zamiast nakłaniać go ponownie

do zaniechania stosunków, wymówiła z cicha, tak, żeby ją Andrzej tylko słyszał:

— Gdybyś ty wiedział... Wiara twoja łamie mój upor a może uprzedzenie. Więc ty wierzysz... ty liczysz się z wolą Boga? Andrzeju! chcę poznać tych ludzi, poznam. Idź, niech cię Bóg prowadzi.

Żegnany takim błogosławieństwem, wyszedł Andrzej z sercem lżejszem, przyjaciel zaś jego zwracając się do matki, rzekł:

— Przewidziałem tę rezygnacyę.

— Przewidujesz, czegom ja sama nie przeczuła. Ale prawda, ty się wstydzisz przecucia, a nie domyślasz się, że sam jesteś przyczyną mojej, jak mówisz, rezygnacyi. Pojmujesz to Zyguncie?

— Pojmuję słabość matki.

— O! jakże się mylisz upatrując w tem jedynie słabość matki. Wierz mi, głębsze uczucie mną powodowało. Ale jakże ja tobie potrafię wytłómaczyć to, czego się nie pojmuje rozumem?

— Rozum — rzekł Rotułowski z filozoficznem namaszczeniem — pojmuje wszystko, ale nie wszystko przebacza.

— Nie wszystko przebacza, nie przebacza? — powtórzyła matka zwolna, jakby z namysłem. Może to dlatego tak mu daleko do doskonałości!

Po sporze tym zapanowało w pokoju głu-
che milczenie. Rotułowski usiadł przy biurku
Andrzeja i zaczął przeglądać dzienniki, matka
Andrzeja, usiadłszy wygodnie w fotelu, doby-
wała z przyniesionej z miasta torebki drobne
jakieś kobiece sprawunki.

VI.

Kwadrans najmniej trwało to uparte mil-
czenie stron obu, gdy je przerwał sługa, wcho-
dząc z oznajmieniem, że jakiś pan, który już
był kilka razy u pana Horodzieja, chce się
z nim widzieć.

— Złe służysz swemu panu — odezwał
się Rotułowski do służącego — jeżeliś nie
odprawił tego nieznanego, gdy wiesz, że
pana nie ma w domu.

Służący tłumaczył się, że nieznanomy uparty
i chce zostawić jakieś pismo. Rotułowski chciał
już ponowić rozkaz, ażeby nie wpuszczać ni-
kogo, gdy matka zwróciła uwagę, że może jaki
znajomy w interesie i kazała przynieść służą-
cemu bilet gościa. Służący wyszedł, a po
chwili podał bilet Rotułowskiemu.

— Hajdeburg! — rzekł Rotułowski rzuci-
wszy okiem na kartę wizytową i dodał: —
nie znam tej figury.

— Proś — powiedziała matka.

Do pokoju wszedł młody człowiek nie wielki wzrostem, szczupły, o pociągłej twarzy, zakończonej ostrą hiszpanką barwy kasztanowatej i tegoż koloru małych wąsikach. Szerokie czoło nie harmoniowało z policzkami zbyt szczupłemi i dolną szczęką, tworzącą niemal koniec ostry trójkątnej fizyonomii. Ożywienie jednak na całej twarzy widoczne i oczy duże barwy piwnej, czyniły miłe wrażenie.

Kłaniając się, zmieszany nieco, wymówił:

— Przepraszam...

Rotułowskiemu, który zwrócił się ku drzwiom, wyrwało się mimowoli z ust:

— Mieszczanin!

Przybyły usłyszał ten wyraz przez zęby wyrzucony i nie ochłonawszy jeszcze, spytał:

— Czy jestem mieszczaninem pyta pan dobrodziej?

— Wszystko mi jedno—odparł Rotułowski.

— Z panem Horodziejem znamy się dość dawno — zaczął nieznajomy, przerwał mu jednak Rotułowski tonem nie bardzo zachęcającym do dalszej rozmowy:

— Tak? przyjaciel mój zatem ma honor szczyć się pańską znajomością?

Nieznajomy odpowiedział tym razem szybko:

— Zaszczyca mnie swoją. Ale, krótko mówiąc, przedstawiam się. Nazywam się, jak mówi bilet, a jestem mechanikiem.

— Czy ślusarz? — spytał Rotułowski.

Pan Hajdeburg, mechanik, uśmiechnął się na to i rzekł z pewną ostentacją:

— Owszem ślusarz, kowal, cieśla, słowem technolog.

— Odbyłeś pan tedy studia?

— Naturalnie, a dla uzupełnienia mogę dobrać, że za granicą.

Rotułowski wskazując krzesło, rzekł grzeczniej nieco:

— Proszę pana, może usiądziemy i pogadamy?

Usta Hajdeburga złożyły się znowu do ironicznego, przelotnego uśmiechu, a zbliżając się do wskazanego miejsca, mruknął:

— A to szlachcie!

Rotułowski siedział już i zapytywał:

— Interes tedy pański do mego przyjaciela?

— Interes cały zawarty w tem oto.

Rzekłszy to, dobył Hajdeburg z kieszeni małą broszurkę i jeszcze jakiś papier i podawał je Rotułowskiemu, ten jednak nie przyjmując, rzekł:

— Czytania za wiele, ale tak krótko?..

— Krótko? Jestto statut rękodzielników, stowarzyszenia z celem humanitarnym. Pan Horodziej obiecał mi zapisać się jako członek wspierający. Może i pan to zrobisz?

— Schowaj pan to — rzekł Rotułowski — bo sędzę, że i mój przyjaciel tego nie zrobi. Innego zdania była widać matka Hor dzieła, bo wmieszawszy się do rozmowy, zagadnęła:

— Pozwól Zygmuncie! — a zwracając się do mechanika dodała: — Niech pan to moje powierzy, ja oddam synowi.

Hajdeburg zerwał się szybko i przeszłszy na drugą stronę pokoju, oddał broszurę matce, poczem raz jeszcze zbliżył się do Rotułowskiego i odważył się na następującą uwagę:

— Prawdziwie, niechęć pańska może dziwi.

— Dziwi pana, że nie chcę wspierać próżniactwa?

— Co też ja tu słyszę?

— A niekiedy pijaków — dodał Rotułowski.

— O, to za wiele! — wymówił podrażniony Hajdeburg.

— Fakta z doświadczenia — dowodził z flegmą Rotułowski. — Miałem tych ludzi na wsi i wszyscy się zapijali.

— Kiedy już mowa o tem — rzekł Hajdeburg — to ośmielę się zapytać, wiele też pan płaciłeś dziennie na osobę?

— Dziewięćdziesiąt centów, guldena i przeszło nieraz guldena.

— I nic więcej?

— Koszta podróży. A na wsi życie tanie.

— Rozumiem — powiedział Hajdeburg

znacząco. — Ale jeżeli kilku z nich, albo i wszyscy mieli rodziny w mieście, żony, dzieci, to musieli część większą zarobku odsyłać. U nas i w lecie zdarzają się dnie chłodne, a robotnik pracujący młotem lub heblem wycieńcza organizm. Cóż zatem dziwnego, że wypił niekiedy kieliszek albo i dwa więcej? Nie jestem zwolennikiem wódki, wolałbym, ażeby więcej jedli niż pili moi robotnicy, ale niekiedy to niemożliwe. Troska o rodzinę, wycieńczenie, chłód, brak pierwszych pojęć higienicznych, każe im szukać pokrzepienia w wódce, ale to nie pijaństwo.

— Troska o rodzinę? — rzekł Rotułowski dziwnym tonem. Ależ mój panie, co mnie mogły obchodzić ich rodziny? Płaciłem za robotę, nie za ich rozkosze.

Hajdeburg uśmiechnął się znowu złośliwie i rzekł:

— Bardzo praktyczne pojęcie.

Rotułowski wziął ze stolika drugi egzemplarz broszury, którą położył Hajdeburg i oddając mu, powiedział obojętnie:

— Odbierz pan zatem ten drugi egzemplarz.

— W istocie — odpowiedział zagadniony

— nic mi innego nie pozostaje.

— Żegnam — dodał Rotułowski monotownie.

Hajdeburg ukłonił się i miał wychodzić,

gdy matka Horodzieja zatrzymała go zagadnieniem :

— Panie, czy mogą być i kobiety wspierającymi członkami?

— Owszem, pani dobrodziejko, tembardziej, że idzie o fundusz zaopatrzenia dla wdów i sierót.

— To zostaw mi pan ten drugi egzemplarz, ja się wpiszę. Mówiłeś pan o rodzinach i dzieciach. Matka lituje się nad wszystkimi dziećmi, bo czuje, jak tylko matka czuć może.

Hajdeburg, skłoniwszy się nisko, wyszedł, a matka zwracając się do Rotułowskiego, odezwała się:

— Człowieku, co się z tobą zrobiło? Zagadka to dla mnie.

— Wszakże idę prostą drogą!

— Ale dokąd?

— Do niezależności.

— I dla tego znienawidziłeś ludzi?

— Kocham przyjaciół, kocham drugą moją matkę.

Matka westchnęła, dając znak ręką, jakby chciała przeczyć, w końcu rzekła:

— Ach, nie mówmy już o tem. Oto wiesz co, spotkała mnie dziś miła niespodzianka. Zgadnij z kim się zobaczyłam w mieście?

— Jakże to odgadywać można.

— Spotkałam Jadwigę, z którą od kilku

lat nie wiedziałam co się dzieje. Zawsze dobra, zawsze rozumna i serdeczna.

— Dobroduszna i łatwowierna — dodał Rotułowski z ironią.

— Tak? — zawołała zgorszona matka Horodziejowa. — Kiedy tak o niej sądzisz, to szkoda, bo powiedziałam jej w twojem imieniu, że się z nią będziesz widział.

Rotułowski bąknął coś, ażeby ukryć zmieszanie, poczem nagle, chcąc naprawić złe wrażenie, które wywołał swoim żartem, rzekł:

— Dam dowód, że wszystko zrobię dla tych, których szanować mogę. Dla tego, mimo opinii, jaką mam o niej, zobaczę się z panią Jadwigą, idę nawet zaraz.

— Ależ nie wiesz, gdzie mieszka.

Rotułowski zawrócił się odedrzwi. Po raz drugi byłby się zdradził, lubo nie życzył sobie tego. Zatrzymał się więc i rzekł z uśmiechem:

— A! ha! ha! prawda.

Horodziejowa przetrzęsła tymczasem swoją torebkę i znalazłszy bilet, oddała go Rotułowskiemu:

— Oto jej adres.

— Dziękuję — rzekł; pocałował matkę w rękę i wyszedł. Ona zaś patrząc za odchodzącym, pokiwała głową i wyrzekła:

O, dziwny człowiek, dziwny! A mógłby być tak dobrym, wzorowym człowiekiem.

VII.

U progu salonu państwa Wiórkiewiczów toczył się spór jakiś pomiędzy ich pokojówką a jednym z wczorajszych gości i biesiadników.

Był nim pan Filipkiewicz, który trawiony gorączką ciekawości, przybiegł przed południem. Chciał on koniecznie wiedzieć, po co przychodził wczorajszy gość z „innej“ sfery, gdyż nie wierzył temu, co słyszał. Chciał zresztą pochwycić jaką plotkę, gdyż oprócz interesów w rozmaitych przedsiębiorstwach, najmilszem zajęciem tego obywatela były plotki. Każdy zresztą wypadek rzeczywisty wychodził z ust jego przekrecony, a nadto szukał ambicyi w tem, ażeby wiedzieć, co się dzieje u wszystkich, gdyby można, współobywateli grodu nadpełtwiańskiego. Że zaś często sam kłamał, lubo nie w złym zamiarze, choć i to na złe wychodziło niekiedy, nikomu nie wierzył.

Pokojówka stojąc blisko drzwi głównych salonu, po raz już może piąty powtarzała:

— Kiedy panu mówię, że pan z panią pojechali.

— Czy tylko *faktycznie*?

— Pojechali i *już!* i czego pan chce właściwie?

Filipkiewicz niezrażony tą poufalością i wywołujący raczej większą jeszcze, badał dalej:

— A panna w domu?

— A panu co do tego?

— Jezus Maryo! jaka ty mądra, a nie wiesz, że ja mogę się faktycznie ożenić z twoją panną.

— E, ktoby tam pana chciał?

— Franeczko — rzekł Filipkiewicz z umiżgiem — nie gadaj tak, bo tybyś faktycznie poszła za mnie galopkiem, jakbym tylko słówko pisnął.

— Owa, nie widzieli takich rarytasów.

— Aha, tak to się gada.

— Et, odczep się pan odemnie!

— Albo to ja do ciebie tu przychodzę? Ja się muszę widzieć z panną.

— Panna chora.

— Co? — spytał Filipkiewicz z niedowierzaniem.

— Cóż ma być, chora i już.

— To w tem coś jest faktycznie.

O tajemnicy tej pragnął się koniecznie dowiedzieć. Nareszcie obietnicami, podstępem, prośbą sprawił tyle, że pokojówka wygadała się albo raczej wyraziła domysł, iż panna Aniela zachorowała wskutek zmartwienia z powodu nieprzybycia *jednego* pana, z którym poznano się w kasynie.

— To już najfaktyczniejsza miłość — wybąknął Filipkiewicz wpół głośno. W myśli zaś

dodawał: Taka kamienica, kapitały, moja realność, kamienica po ciotce i to wszystko byłoby za nic. Absolutnie nie wiedzieć co zrobić. Zastanowiwszy się nad możliwym zniweczeniem planów, spytał ponownie.

— Kiedyż państwo powrócą?

— Pewnie po południu — odparła pokojówka.

Filipkiewicz zawrócił się ku drzwiom, ale szedł z pewnem wahaniem. Był już przy progu, gdy nagle otwarto drzwi z impetem tak, że Filipkiewicz musiał odskoczyć, a wchodzący nie spostrzegł nawet szanownego obywatela, który korzystając z pozycyi, a dręczony wiecznie ciekawością, pozostał w głębi, gdy świeżo przybyły szedł szybko i zatrzymał się dopiero na środku salonu. Przybyły był Horodziej, który postrzegłszy pokojówkę spytał?

— Czy państwo w domu?

— Pan z panią pojechali, ale panna w domu — odrzekła pokojówka.

Horodziej dobył bilet i trzymając go w ręku zawahał się, po chwili jednak rzekł:

— Proszę cię, oddaj to...

Domyślna Franka podchwyciła:

— Zaniosę chyba do panny.

W tej chwili zastanawiał się Horodziej, czy wypada mu widzieć się z Anielą podczas nieobecności jej rodziców, gdy pokojówka wy-

rwiała zamyślonemu bilet z ręki i zwracając się w stronę drzwi ku innym pokojom, postrzegła przyczajonego u głównego wejścia Filipkiewicza.

Biegając ku niemu zagadnęła półgłosem:

— Czemuż pan nie idzie?

Po chwili targów, których Horodziej nie słyszał i nie dostrzegł, wyszedł Filipkiewicz, a Frania z biletem poszła do pokoju Anieli.

Horodziej miał czas pomyśleć nad tem, co zrobił i zły był, że uległ namowie przyjaciela i nie dotrzymał słowa. Gniewało go nie mniej, że Rotułowski usprawiedliwiał kłamstwem jego nieprzybycie do Wiórkiewiczów. Rotułowski przedstawiał w barwach tak ciemnych życie domowe mieszczan, że Horodziej przeraził się i znajomości i skłonności swojej. Dopiero dziś przekonywał się, że zajął się Anielą nie chwilowo, że zapomnieć by o niej nie mógł. W duszy też nazywał prostactwo i rubaszność Wiórkiewicza prostotą a nie wiedząc w jaki sposób nabyła oglądy i wykształcenia ta, którą już w istocie kochał, mniemał, że rodzice bez wychowania, nie mogliby dziecka tak wychować, jak Anieli, o której miał najlepsze wyobrażenie.

Medytacye te przerwała pani Jadwiga. Pojawienie się jej tutaj było niespodzianką dla Horodzieja. Jadwiga, uprzedzona już o tem,

kogo ma powitać, była naturalną i nie okazała zdziwienia, w tem większe zdumienie za to wprawiła Horodzieja. Powitawszy ją niemym ukłonem, uściskałszy szczerze podaną rękę, rzekł nakoniec:

— Dziwne zrządzenie losu! Skąd, jak, kiedy, czemu, spotykam panią tutaj?

— Przerwę panu, bo naprzód witam go w imieniu córki państwa Wiórkiewiczów. Ona sama powita pana za chwilę. Była trochę cierpiąca. Zdziwienie pańskie uchylę kilku słowy: jestem lokatorką w tym domu. Pannę Anielę znam od lat kilku i sympatyzuję z nią. Była moją uczennicą, jestem tu zatem częstym gościem. Prawda, że zagadka nie tak zawiła?

— Tak, tak pani. Ale teraz dopiero pojmuję, w jaki sposób dziecko domu mieszczańskiego posiada duszę tak szlachetną, serce tak dobre.

— Nie przypisuj mi pan więcej nad zasługę — rzekła Jadwiga. — Gdyby nie to dobre serce, o którym sam mówisz, trudnoby było wpłynąć na umysł. Panów krępuje uprzedzenie. A może i to nie, może tylko brak chęci zbliżenia się do tych sfer, nad którymi nikt nie pracuje, a do których zbliżyła mnie konieczność.

— Dziś zgadzam się z panią. To samo

prawie mówiłem wczoraj, sprzecząc się z Zygmuntem.

— Uprzedzam pana jednak — dodała Jadwiga — że w świecie tym są nie mniejsze uprzedzenia, przesady, zabobony, ambicje i niedorzeczna duma. Ale któż temu winien?

Horodziej nie słyszał już słów ostatnich, bo we drzwiach drugiego pokoju stanęła Aniela, ubrana czarno. Powstał spiesznie i zbliżając się ku niej, rzekł:

— Witam panią, co prawda, zaniepokojony, bo słyszę, że byłaś pani cierpiąca?

Aniela nie odpowiedziała wprost na pytanie, ale jakby z wyrzutem:

— Myślałam, że już pana nie prędko zobaczę.

— Po naszych kilku ostatnich rozmowach, mogłaś pani tak sądzić?

— Nie byłam panią własnych myśli.

— Tak, byłaś pani chora.

— Teraz mi zupełnie dobrze, choć wczoraj było mi źle.

— Wykreśl pani to wczoraj z pamięci.

— Tego nie potrafię, bo taki dzień nie raz jeszcze powtórzyć się może.

Mówiąc to, zbliżała się ku środkowi salonu, gdzie Jadwiga przy stole zajęta była przeglądaniem jakichś rycin.

Horodziej idąc z Anielą, pytał:

— Powtórzyć się, jakto? czy z mojej przyczyny?

— O! nie! Ale z przyczyny tego świata, który dla pana jest obcy. Wczoraj było tutaj towarzystwo... Nie byli to wprawdzie przyjaciele, tylko znajomi, ale tacy, których przyzwyczajenia i znalezienie się niepokoiło mnie. Ich żarty, ich rubasznosc rozstrajały. Przyznam się szczerze, że drżałam na myśl, że pan się tu z nimi spotka. Przykro było, żeś pan nie przyszedł, ale też ogarniał mię i niepokój. Rozdrażniło mię to, nabawiło bolu głowy.

— Niezmiernie mi przykro, że pani cierpisz z tego powodu. mogę jednak zapewnić, że jestem bardzo wyrozumiała, bardzo pobłażliwa. Doskonałych bowiem ludzi nie ma na tym świecie.

— Ach! — westchnęła Aniela głośno, gdyby tak wszyscy pojmowali, jakże szczęśliwy byłby świat cały.

Horodziej zwracając się do Jadwigi, chciał coś powiedzieć, ale w tem wbiegła nagle do salonu Basia i rozglądając się, zbliżyła się do Jadwigi. Postrzegłszy Horodzieja, zrobiła dyg uprzejmy i rzekła do swojej nauczycielki:

— Przyszedł jakiś pan i życzy sobie mówić z panią.

— Któż to jest — spytała Jadwiga — nie znasz go?

— Powiedział, że nazywa się Rotułowski.

— Co, Zygmunt! — zawołał Horodziej.

— Pański przyjaciel? — spytała Aniela.

Czy ten sam, który był wczoraj usprawiedliwić pana?

Horodziej potwierdził skinieniem i dodał z cicha do Anieli:

— A za co najmocniej przepraszam i żałuję, że sam nie przyszedłem, jak było umówione.

Jadwiga znalazła się chwilowo w kłopotcie, nie wypadało jej bowiem opuścić Anieli, gdy rodziców jej w domu nie było, a nie chciała znowu odprawić Rotułowskiego. Poradziła sobie jednak prędko, po krótkim bowiem namyśle, rzekła do Basi:

— Moja kochana Basiu, bądź ty pośredniczką. Potrafisz wytłómaczyć temu panu, że odejść nie mogę, bo panna Aniela ma gościa, a jednak życzę sobie przyjąć pana Rotułowskiego. Przedstaw tedy, że my tu same, że rodziców panny Anieli nie ma w domu, że była trochę cierpiącą, zatem...

Pani Jadwiga zatrzymała się spojrzawszy na Basie, która dodała:

— Powiem, że nie wypada pani odstąpić nigdy uczennicy jej, a zatem racz pan pofatygować się na drugą stronę.

— Doskonale — odparła Jadwiga, a Basia wybiegła, ażeby zaprosić pana Rotułowskiego.

VIII.

Gdy Rotułowski wszedł do pierwszego pokoju Jadwigi, urządzonego w guście saloniku, zastał samą tylko Basię, siedzącą przy fortepianie i wykonywującą nie bardzo ponętne dla ucha ćwiczenia jakieś.

Młode dziewczę tak było zajęte swoją muzyką, że spostrzegło Rotułowskiego dopiero w chwili, gdy się zbliżył bezpośrednio do fortepianu i po raz drugi głośno zapytał o panią Jadwigę.

Basia zerwała się przełęczniona trochę i zaambarasowana, zaraz jednak odpowiedziała, że nauczycielka jej jest prawie tak, jak w domu, bo na drugiej stronie u właściciela domu.

Ze znanem już poleceniem pobiegła Basia do Wiórkiewiczów, Rotułowski zaś zostawszy sam, odetchnął a może westchnął i rozglądał się z zajęciem po pokoju. Nie poprzestał na zajrzeniu w kąty pierwszego pokoju, wszedł do drugiego, który był sypialnią Jadwigi. Zbliżył się do jej biurka. Postrzegł na nim fotografię pani Horodziejowej i fotografię Jadwigi. Oglądał się, jakby strwożony, po-

dniósł wizerunek jej, zbliżył do ust i pocałował. Postawił ją następnie na dawnym miejscu i wpatrywał się chwilę w jej rysy. W duszy życzył sobie, ażeby Basia jak najdłużej zabawiła w poselstwie, a równocześnie gniewało go jednak, że jakieś dziwne uczucie nim owładnęło. Pomimo woli brał w rękę drobiazg po drobiazgu, leżące na biórku, oglądał, odrzucał i znowu chwycił. Dziwny urok miało dla niego wszystko, co otaczało tę kobietę. I złorzeczył chwili i rad był, że jest tu sam na chwilę. Kiedy usłyszał powracającą Basię, tupnął nogą i mruknął wpółgłośno:

— Jestem waryat lub bliski szaleństwa! Dowiedziawszy się o zaproszeniu do salonu Wiórkiewiczów, zawahał się chwilę, poczem jednak ociągając się, poszedł.

Wchodząc do salonu Wiórkiewiczów, oddał obecnym ukłon generalny i rzekł:

— Upoważniliście mię państwo do kroku, który uważam za niestosowny. Nie mogę za to być odpowiedzialny.

— Przebolej pan tylko niestosowność — rzekła Jadwiga z uśmiechem — to odpowiedzialność udźwigną moje słabe ramiona.

— Przepraszam—przerwał Horodziej, jeżeli kto staje się winnym z namowy, nie przestaje być winnym.

— Bravo! — zawołała Jadwiga.

— Czy to zмова przeciw mojej osobie?— zapytał Rotułowski.

— O, nie było czasu na zmovę — odparła Jadwiga. Rzekłszy to, zaprosiła Rotułowskiego skinieniem na przeciwległą stronę salonu, który lubo mieszczkański, był dość obszerny i tak podzielony, że oprócz garnituru na środku, stały pod oknami przeciwległymi małe kanapki i także foteliki. Jadwiga usiadła na jednym z fotelików, na drugim zajął miejsce Rotułowski. Naprzeciw, przez cały salon rozdzieleni, zasiedli Aniela i Horodziej.

Horodziej, zwracając się do Anieli, spytał półgłosem :

— Zabolała więc panią zawód, któregoś wczoraj doznała przezemnie ?

— Tak, bo mi się zdawało, że pożyła pańską życzliwość.

- Tylko życzliwość ?

— Szczerą i — wielką — dodała Aniela nieśmiało.

Rotułowski, który usiadł na małym foteliku, zwrócił go tak, że siedział naprzeciw Jadwigi w ten sposób, że mógł przez długą chwilę patrzeć jej w oczy. Siedział też, patrzył i milczał, nie dla tego, żeby nie mógł znaleźć przedmiotu do rozmowy, ale z wrodzonej przekory, a może dla tego, że nie mógł w tej

chwili mówić o tem, o czemby pragnął. —
W końcu przerwała Jadwiga zagadnieniem:

— Cóżżeś pan wyczytał w moich oczach?

— Zawsze ten sam upór niezmierny.

— Zawsze? Być może, byle odpowiednio
zastosowany.

— Odpowiednio? — powtórzył Rotułowski
z przyciskiem. Któż w takim razie może być
sędzią?

— Sumienie — odparła krótko Jadwiga.

— Bardzo to elastyczny sędzia — rzekł
Rotułowski tonem tłumionej ironii.

W tej chwili powstał Horodziej i pochyla-
jąc się i całując w rękę Anielę rzekł głośno:

— Szczęśliwy jestem, żeśmy się tak prędko
porozumieli.

Równocześnie powstała z miejsca i Jadwi-
ga, a idąc z gestem zaprzeczenia na środek
salonu — rzekła głośno:

— Nie możemy zgodzić się z panem Ro-
tułowskim w pewnej sprawie zasadniczej, mu-
szę zatem was, moi państwo, wziąć na świad-
ków i sędziów polubownych. Ja twierdzę, że
upór jest odpowiedni wtedy, gdy pobudką je-
go sprawa sprawiedliwa i gdy wypływa z mi-
łości.

— Tylko nie z miłości — przerwał Rotu-
łowski, która jest ślepą.

— I może dla tego najszcześliwszą — rzekł Horodziej.

— Proszę o cierpliwość — przerwała Jadwiga. Między nami była mowa o miłości bliźniego.

— A ja proszę — rzekł Rotułowski — uwzględnić, że przyjaciel mój i pani — dodał zwracając się do Anieli — nie znają wypadku, o który nam idzie.

— To najmniejsza przeszkoda — zauważyła Jadwiga. Jeżeli się pan zgodzisz, przedstawię wypadek ten w kilku słowach.

Rotułowski spojrział na Jadwigę tak, jakby ją chciał zniewolić do zaniechania tej opowieści, ale widać wyczytał znówu tylko upór, bo powiedział obojętnie:

— Zgadzam się, bo pani wie, że w moich czynach kieruję się tylko własnem zdaniem.

— Czasem jednak nie zaszkodzi dowiedzieć się i o zdaniu innych — rzekła Jadwiga z przyciskiem. Skoro zaś pan zgadzasz się, to posłuchajcie państwo. Przed kilku laty zrządził traf, że pan Rotułowski dał pewną kwotę jednemu z rękodzielników na materiał niezbędny do jakiejś budowli. W tem człowiek ten dowiedział się, że w mieście żona jego i dzieci zachorowały. Zabrał więc powierzone pieniądze, pojechał i zapewne nie z rozkoszy wydał nie swoje pieniądze. Pan Rotułowski

oskarżył go o sprzeniewierzenie. Ja nazwałam to barbarzyństwem i obstaję dziś przy swoim, gdyż biedak ten miał zamiar uiścić się z długu, zwrócić, co nie było jego własnością. Reszta następstw nie należy do zdarzenia. Sądźcież państwo, czy moje zapatrywanie jest nieusprawiedliwione? Czy pobłażliwość nie jest czasem obowiązkiem? Czy nie była nią w tym wypadku?

Gdy Jadwiga zamilkła, odezwał się Rotułowski uprzedzając opinię:

— Naturalnie, że obecni tutaj, pani przyznają słuszność.

— O, ja bezwarunkowo — rzekła Aniela.

— I mój przyjaciel także — dodał znowu Rotułowski zwracając się do Horodzieja.

— Ha! — odpowiedział Horodziej — w warunkach takich, o jakich pani wspomniała, muszę być po jej stronie.

— Tak, tak — wymówił Rotułowski zbliżając się ku zajmowanemu poprzednio miejscu. Teoretycy, idealisci, chcieliby odgrywać rolę Opatrzności. Dla mnie to koszt za wielki.

Horodziej z Anielą zaczęli znowu półgłosem rozmowę i oddalili się nieco w głąb, gdy Jadwiga spytała Rotułowskiego znacząco:

— Pan tedy nie potrafisz być sprawiedliwym i miłosiernym?

— W znaczeniu takim, jak pani pojmuje, stanowczo nie!

— Ach! — rzekła podrażniona Jadwiga. W znaczeniu takim, w znaczeniu owakiem! Nie pojmuję tych dwuznaczności. Widzę tylko, że pana oburza każde odmienne zapatrywanie.

Rotułowski drgnął, na twarzy jego odmalowało się żywsze jakieś uczucie, a ująwszy rękę Jadwigi, siłą niemal pociągnął ją ku framudze okna i rzekł głosem stłumionym:

— Jakże nie miało mnie oburzyć, kiedyś pani przed trzema laty poświęciła swoją lepszą egzystencję, wyrzekłaś się stosunków z naszym światem, ażeby ratować jakieś tam indywiduum; kiedyś... wzgardziła moją ręką i weszła pomiędzy ludzi...

Jadwiga przerwała mu nagle:

— Nie kończ pan, bo w moich oczach dopuścisz się nowej niesprawiedliwości. Ja skończę: weszłam między nieszczęśliwych.

Rozmowę tę przerwał żywszy i głośniejszy ruch w korytarzu, tuż przy drzwiach salonu. Horodziej zbliżył się ku drzwiom, Rotułowski przeszedł na środek i czekał zwrócony ku wejściu.

IX.

Do salonu wszedł naprzód dość żywo, z zadowolaniem na obliczu pan Wiórkiewicz, a za

nim powolniej nieco małżonka. Wchodząc i nie widząc jeszcze nikogo, zwrócony na poły do żony, zawołał Wiórkiewicz głośno:

— Otóż prędzej wracamy, niż myślałem. Spostrzegłszy obecnych, zerwał kapelusz z głowy i witał:

— Upadam do nóg panom dobrodziejom.

Następnie zbliżył się do Horodzieja, podał mu rękę i podaną nawzajem, potrząsnął silnie, Rotułowskiemu ukłonił się powtórnie, ale widząc, że ten głową tylko skinął, nie spieszył z serdeczniejszym powitaniem.

Aniela rozmawiała z cicha z matką, która całując córkę w głowę, wymówiła półgłosem:

— To lepiej ci, lepiej Anielciu? No, to chwala Bogu.

Rotułowski wodząc oczyma za Wiórkiewiczem, szepnął do Jadwigi:

— Te kreatury nazywasz pani ludźmi?

— Cóżem winna, że tak mię nauczył jeszcze katechizm?

Mówiąc to, usiedli znowu na dawnym miejscu. Horodziej szedł z Wiórkiewiczem do kanapy na boku, by zająć miejsce, a przechodząc ode drzwi, rzekł:

— Dziś mam honor osobiście pana przeprosić za wczorajszy zawód.

Wiórkiewiczowi pochlebilo to odezwanie

się, i kiedy zapraszał gościa, by usiadł, wyrzekł z dobrodusznym uśmiechem:

— Ale ja bo panie dobrodzieju nie gniewałem się na pana, słowo uczciwości! Tylko... tylko moja żona i córka były markotne na pana.

— Cieszę się więc, że o mnie pamiętano — odparł grzecznie Horodziej.

— O ho! ho! — zawołał Wiórkiewicz głosem donośnym. Co to, to żebyś pan wiedział, co tu było *turbacyi*, że...

Przerwała ojcu nagle Aniela, do której wstał z kanapy, bo ze strony przeciwnej małżonka przesłała mu jakiś znak tajemniczy. Aniela zbliżyła się szybko i niepostrzeżenie szepnęła:

— Niech też ojculek nie wygada się.

— No, no — sza! uspokoił ją ojciec i zwrócił się napowrót do gościa.

Rotułowski skorzystał z zajęcia się innych osób, ażeby odnowić spór przerwany z Jadwigą. Właściwym sobie tonem ironii, spytał:

— Pani tedy chcesz być reformatorką? Winszuję.

— A pan?

— Zostanę, czem jestem.

— Świat mówi, że egoistą.

— Czy i pani taka opinia o mnie?

— Pozory oskarżają pana. Może zresztą sam chcesz, ażeby takie były pozory.

Rotułowski miał odpowiedź prawie na ustach, gdy ją przerwało wejście Hajdeburga. Spostrzegłszy go, zawołał Rotułowski głosem stłumionym:

— A! taki jarmark możliwy tylko w mieszczańskim domu.

Hajdeburg powitawszy obecnych milcząco, zbliżył się do gospodarza domu i zagadnął:

— Może nie w porę przybywam, ale pan byłeś łaskaw oświadczyć, że dziś możemy pomówić.

— Czemubymy nie mogli? to pewnie o tem nowem stowarzyszeniu, więc przecie wszyscy wiedzieć mogą.

W ciągu rozmowy Hajdeburga z gospodarzem domu, uwaga wszystkich niemal zwróconą była na nich, pomimo woli zamilkli i słuchali. Hajdeburg był nawet zadowolony z tego i odpowiedział tak, ażeby wszyscy słyszeli:

— Owszem, staram się nawet o to, żeby jak najwięcej wiedziało osób i przyjęło udział w stowarzyszeniu.

Wiórkiewicz namyślał się chwilę, poczem zagadnął:

— Ale bo... kogo to ja mam wspierać, jeżeli zostanę członkiem wspierającym?

— Wspierać — wyjaśnił Hajdeburg — potrzebujących najbardziej pomocy: rzemieślników w chorobie, ich fundusz dla wdów i sierót i fundusz emerytalny.

— A dla samodzielnych, dla przedsiębiorców to nic? — badał Wiórkiewicz.

— O ile zostaną zwyczajnymi członkami, mogą mieć te same prawa.

— Hm, hm — zastanawiał się Wiórkiewicz. — Ja tam tego nie potrzebuję, toż podobno i nic z tego nie będzie. Z drugiej znów strony, z *łapserdakami* się bratać i zostawać zwyczajnym członkiem, to jakoś nie wypada. A wspierać znowu, wspierać, panie dobrodzieju, za to, że nawet człowieka nie uszanuje; wspierać za *fumę* i *buteę*? Nie, ja za moje pieniądze nie chcę być poniewierany.

— Darujesz pan — rzekł Hajdeburg — ale to są posądzenia, a może uprzedzenie.

Rotułowski, który przez czas rozmowy słuchał bacznie, zwrócił się do Hajdeburga i rzekł cedząc słówko po słówku:

— Panie technologu. myśmy podobno dziś mówili z sobą o tym samym przedmiocie?

Zagadnięty odparł z ukłonem:

— Miałem honor przedstawić panu cel humanitarny stowarzyszenia.

— Nie wchodzę w to, jaki cel — rzekł Rotułowski obojętnie. Powiem panu natomiast,

że zmieniam postanowienie odmowne na požądane dla stowarzyszenia.

Wiórkiewicz zaczął pomału zbliżać się ku środkowi salonu, a kiedy usłyszał ostatnie zdanie Rotułowskiego, podszedł do żony i gestykulując, rozmawiał z nią po cichu.

Hajdeburg uradowany skutkiem dobył teczkę i spytał Rotułowskiego, czy ma go zanotować jako członka wspierającego.

— Nie notuj pan — odparł Rotułowski — ale wpisuj zaraz, że zostałem członkiem wspierającym z kwotą roczną pięćdziesięciu guldenów.

Hajdeburg odebrał zaraz i sumę zapowiedzianą i chciał dziękować. Rotułowski jednak powiedział jak przedtem obojętnie:

— Proszę przyjąć bez podziękowań.

— Ja panu dziękuję za to — rzekła Jadwiga, podając rękę Rotułowskiemu, który odpowiedział żywiej nieco:

— Podziękowanie takie cenię wysoko. Ale nie sądź pani, że mię skłoniła jakaś idealna pobudka. Nie chciałem po prostu mieć tej samej opinii, którą się manifestował pan Wiórkiewicz.

Jadwiga uśmiechnęła się niepostrzeżenie i rzekła:

— Dobry uczynek kompromituje trochę tę nieidealną pobudkę.

Gdy tak rozmawiali grupami Rotułowski z Jadwigą, Wiórkiewicz z żoną i Anielą, Horodziej tymczasem umawiał się po cichu z Hajdeburgiem, którego teczka była znowu w robocie, a Horodziej rzekł, jakby już kończąc:

— Zapisz pan mnie z taką samą kwotą.

Wiórkiewicz mocno zaniepokojony, wzburzony nawet, szepnął do żony:

— Kasiu, cóż ty na to?

— Na co?

— Na to, na to — mówił sapiąc i tłumiąc głos, — że teraz gotowi ci panowie nas mieszczuchów uważać za hołyszów. Słyszałaś? sypią co roku po pięćdziesiąt guldenów!

Aniela, stojąca tuż obok ośmieliła się na uwagę:

— Po cóż ojciec tak od razu, z góry był przeciwny?

Wiórkiewicz rzucił się, potem wziął żonę i córkę za rękę, i odprowadzając je nieco, rzekł:

— Otóż ja im teraz z góry pokażę, co może mieszczanin.

Rzekłszy to, zwrócił się nagle do Hajdeburga i kładąc poufale rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Wie pan co? na pańskie słowo, że to jakiś taki szlachetny cel, niech pan i mnie wpisuje.

— Jako członka wspierającego z roczną wkładką?

— Nie! nie z roczną. Ja panie co mam zrobić, zaraz robię, aby dobrze. Niech pan pisze z jednorazową wkładką, na teraz, może potem...

Hajdeburg dobył ponownie teczkę i powtórzył:

— Z jednorazową, w kwocie?

Wiórkiewicz odchrząknął kilka razy, poczem wybuchnął nagle:

— W kwocie dwustu guldenów!

Odwrócił się następnie i jak tryumfator podbiegł do żony i nachylając się, szepnął:

— A co Kasiu! Niech świat się dowie, że mieszczenie nie dadzą się panom zakasować!

X.

Z różnorodnych żywiołów złożone towarzystwo w domu Wiórkiewicza, rozdzieliło się wkrótce. Gospodarz zaprosił Horodzieja do swego pokoju, Hajdeburg żegnał obecnych zadowolony, Aniela z matką wyszły do swoich pokoi, a Jadwiga wezwała gościa z konieczności tylko tu przebywającego do swego mieszkania.

Rotułowski posłuszny jej wezwaniu, szedł niekontent z tego, że musiał zabawić chwilę

w towarzystwie nie swoim. Człowiek ten wychodził zawsze oziębiony z towarzystwa, którego stosunków nienawidził. Z drugiej strony jednak rozjątrzenie chwilowe łagodziła w nim myśl, że posiedzi i pogada w mieszkaniu tej, którą kochał głębiej, niż Jadwiga sama przypuszczała.

Czemuż, kiedy kochał, tak trudno mu było porozumieć się z kobietą przenikliwą i z kobietą, która pojmowała tak dobrze innych i która umiała mniej światłych przekonywać, a niekiedy podstępem nawet niewinnym naprowadzać na drogę i do czynów szlachetnych?

Czemu? Ażebym odpowiedzieć na zagadnienie nierozwlekle, rzeczby można w kilku wyrazach: że winne temu były i czasy, i ludzie, i stosunki, a nakoniec charakter Rotułowskiego i to wszystko co przeżył. W winie tej udział charakteru był nie mały. Czy nazwać to stanowczością, czy uporem, tak jednak było, że wbrew oczywistości utwierdzał się on w każdej chwili życia w przekonaniu takim, jakie sobie z góry narzucił, albo błędnie wyrobił. Tą samą drogą szły i uprzedzenia, że zaś nie lubił być przekonywany, uprzedzeń przybywało. Szczęśliwy z tem nie był, ale wyrobił w sobie za to pewną dumę, w której mniemał się wyższym nad wszystko i wszystkich.

Gdyby można było otworzyć to serce, skło-

nić do szczerości, powiodłoby się może wyrwać je z tego morza goryczy, w którym Rotułowski tonął powolnie, w którym byłyby może już utonął bez ratunku, jeżeliby był nie spotkał na drodze swego życia Jadwigi.

W pierwszej chwili wszakże nie wzięła go ta gorąca, wzrastająca i potęgująca się miłość, której dziś nie ukrywał przynajmniej przed sobą samym, i w pierwszej chwili irytowało go imponujące zjawisko stanowczego charakteru w Jadwidze, charakteru, który nazywał uporem.

Jadwiga myślała często, zastanawiała się głęboko, czy nie możnaby zedrzyć tej czarnej zasłony, po za którą przeczuwała serce uczciwe i dostępne dla uczuć ludzkich. Myślała i nie traciła nadziei. Zdawałoby się, że miłość dla niej Rotułowskiego powinna była dopomóc do wykonania tego zadania. Ale i ta miłość była wyjątkową. Kochał ją, ale jak podejrzywała, kochał w pierwszych chwilach tylko zmysłowo. Że uczucie to ulegało i uległo w części przeobrażeniu, było widocznem, do zupełnego wszelako uszlachetnienia jej brakło wzmiankowanego już porozumienia. Rotułowski kochał, ale wyobrażeń swoich i zapatrywań nie chciał zmieniać. On już zresztą do uczucia tego przyznał się dawno, ona zaś mówiła tylko o swojej życzliwości. On kochał, ale podzielał o jej działalności zapatrywania

swojej sfery, upatrywał pewne śmieszności w jej postępowaniu, mniemał, że kompromituje się i nie chciał zrozumieć dążeń jej.

Ona w dążnościach tych nie szukała chwały, nie zastanawiała się nad niemi wcześniej, aż dopóki nie została przedmiotem obmów, ironii i nawet uwag ze strony tego, który wyznał jej miłość. Jadwiga po wysłuchaniu tylu sprzecznych zdań, które obiegały o niej, po rozejrzeniu się w świecie, po odczytaniu kilku rozpraw świeżych o celach i zadaniach ludzkości i społeczeństw, urosła w samej sobie także nieco w dumę. Wszakże od dawna robiła wszystko, uczuciem tylko powodowana, o czem tak pięknie rozprawiali teoretycy, a o czem, jak sobie mówiła w głębi duszy, pouczał ją jeszcze głęboko religijny ojciec.

Rotulowskiego drażniła jej otwartość i prawdomówność, Jadwigę jego wieczna ironia, mająca swe źródło w opinii świata, z którego on nie był zadowolony, do którego jednak należał duszą i ciałem i na każdym kroku gotów był bronić. Bronił go często wbrew własnym poglądom lepszym, te jednak nie uważał za stosowne dla ludzi, którzy według niego, nie mieli prawa do analizy świata wyższego.

Z takimi myślami i uczuciami przeszli kilka kroków, rozdzielających mieszkanie Ja-

dwigi od mieszkania Wiórkiewiczów i zasiedli w pierwszym jej pokoju.

— Witam pana — rzekła Jadwiga — po raz drugi, ale już we własnem mieszkaniu. Przyznać się muszę, że witam z dumą, bo ten kącik spokojny zdobyłam własną pracą.

— Umiem szanować to uczucie — odparł Rotułowski.

— Nie przypuszczałam nawet, ażebyś pan nie umiał uszanować tak nieszkodliwej dumy... Ale sądziłam, że usłyszę życzenie powodzenia.

— To, skoro jest, to jest, a gdyby go nie było, nie pomogłoby nic życzenie.

Z odpowiedzi tej widziała Jadwiga, że chroniczne zniechęcenie owładnęło znowu Rotułowskim. Szybko przebiegła myślą rozmaite materye, o którychby można zagadnąć go, ażeby stłumić w nim pesymizm, nurtujący umysł jego, według niej, bez przyczyny.

Po chwili odezwała się:

— Mam do pana żal usprawiedliwiony.

— Może panią obraziłem, nie wiedząc o tem?

— Powiedz mi pan, co znaczył wyraz „reformatorka“ do mnie zwrócony?

— Taką mi się wydaje rola, którą pani odgrywa.

— Pan wiesz, że komedyi nie gram; postępowanie moje jest naturalne, wielkich za-

dań sobie nie stawię. Pracuję. nie powiem ciężko, bo z prawdziwą przyjemnością i na tem kończy się moja rola. Pan zaś podsuwasz mi jakieś zamiary i jakieś pretensye, o których mi się nie śniło.

— Pani miałaś sposobność uwolnić się od tej pracy, ale wzgardziłaś moją ofiarą. Kto sam skazuje się na trudy i chce obok tego dogodzić swoim kaprysom...

— Kaprysom? — przerwała Jadwiga.

— Tak, kaprysom. Bo czyliż to nie kaprys, gdy się pani starasz zastosować do świata, który ci jest tak obcy jak i mnie? Nawsi, przed laty byłaś pani dobrowolną opiekunką chłopstwa, a tutaj, o ile widzę, pragniesz jakiegoś uszlachetnienia sfer, które się nigdy do szlachetności nie poczują.

— Nie mam zamiaru sprzeczać się z panem, ale słowa „nigdy“ nie pojmuję. Czemużby nigdy? Czy już kto robił próby i zawiódł się? Czy pan, czy ja, którzy nie pochodzimy ze sfery mieszczańskiej, bylibyśmy tacy, jak jesteśmy, gdyby zaniedbano nasze wychowanie? Zresztą, mów pan otwarcie: czy bierzesz mi pan ciągle za złe, że robię to, co jest potrzebą mego serca.

— Zanim odpowiem na pytanie, zapytam sam: czy pani, przyzwyczajona do piękna

i zamięłowana w niem, znalazłaś wiele tego poczucia w sferze mieszczańskiej?

Jadwiga zastanowiła się chwilę, poczem rzekła:

— W pokoleniu starszem nie ma tego poczucia, ale jest w młodszym.

— Są to pozory — rzekł Rotułowski stanowczo.

— Przypuśćmy, że pozory, to ten, kto chce pozory utrzymać, musi zajmować się treścią, która pozór utrzymuje. Dla mnie to wystarcza. Zajęcie, które mam, ożywia mię, przekonywa, że mam jakiś cel w życiu, a pan bierzesz mi to za złe.

— Ale owszem, życzę pani odkryć coraz więcej na tem polu, ale nie jestem przekonany.

— To wskaż pan cel, który jego zajmuje?

— Moim celem niezależność.

— Toż samo mówią mieszczenie, których pan potępiasz za to.

— Ludzie, którzy żyć nie umieją, nie warci są niezależności.

— A! nie porozumiemy się — rzekła Jadwiga z westchnieniem.

— Niestety, ubolewam nad tem — rzekł Rotułowski powstając.

Przeszedł przez pokój, wziął kapelusz, stanął przed Jadwigą i wpatrując się w nią, rzekł:

— Wie pani, czemu nam tak trudno porozumieć się? Nie mówimy o tem, co nam na sercu leży, a nie mówimy, bo oboje jesteśmy uparci.

— To siadaj pan i zaczynajmy na nowo.

— Spodziewam się, że pani pozwoli odwiedzić się innym razem. Teraz idę się dowiedzieć, jakim szaleństwem zapieczętował Andrzej swoje głupstwo?

XI.

W domu państwa Wiórkiewiczów miała cała służba zajęcia nie mało. Czyszczono, zamiatano kąty, froterowano posadzki, otwierano kredensy, słowem dom przysposabiał się na przyjęcie nadzwyczajnych gości. Horodziej bowiem zapowiedział wizytę swojej matki, która chciała poznać Aniele. Wiórkiewicz chodził z kąta w kąt i powtarzał: Pokażemy panom, co to mieszczanie!

Rano odbywał Wiórkiewicz z małżonką przegląd salonu, do którego wchodząc, uśmiechał się. Drugi dzień żył już reminiscencyą swego czynu humanitarnego.

— A co — zagadnął po raz już może piąty żonę — zaimponowałem? Wyda się wprawdzie dwieście guldenów, ale niech wiedzą, że my nie gorsi od panów. A prawda,

uważałaś, jak im to poszło po nosie, kiedy zawołał na Hajdeburga: pisz pan, że daję dwieście guldenów?

— E, pan Horodziej, zdaje się nie uważał — rzekła Katarzyna. Ale temu jego przyjacielowi naprawdę kwaśno się zrobiło.

— Aha! i ja to uważałem. To jakaś dumna sztuka. — Horodziej to nie zły człowiek. Niby także i pan greczny, ale jego grzeczność nie drapie tak po duszy. Tamten, to im grzeczniejszy, tem mocniej kole.

Pani Katarzyna zadowolona, że Horodziej umiał ująć sobie jej małżonka, rzekła:

— Wszystkim się spodobał. Ale... a cóżes mu odpowiedział, kiedy prosił, żeby go niby uważać za *przyszłego* Anielki?

— Odpowiedziałem tymczasem ni siak, ni tak.

— Ni siak, ni tak! masz go! a prosiłam... Teraz gotów się pogniewać.

— E, kiedybo mi to podejrzane!

— Co podejrzane?

— Co, co? to, że nie pisał ani słóweczkiem o posagu Anieli.

Pani Katarzyna rozgniewała się.

— Nie pisał! rzekła oburzona. Co z tego? Nie pisał, bo ją kocha.

Teraz przyszła kolej oburzenia na Wiór-

kiewiczza. Zaczął biegać po salonie i powtórzył kilka razy:

— Kocha! kocha! A jak on tylko tak, z cicha pęk i po cichu liczy na nasz majątek; podsunie się, a potem cap! i osiodła teściów?

— Zwaryowałaś chyba! Toż on się prawie wyraźnie oświadczył Anieli. Na nic on nie rachuje, na nic. Oj, ty zawsze coś zrobisz na złość własnemu dziecku.

— No, to można naprawić — rzekł Wiórkiewicz zażegnując.

— Naprawić? A tymczasem ona się znowu zgryzie, bo jej mówiłam: ojciec nie ma nic przeciw temu. Teraz co? Będziesz naprawiał, jak mi się dziecko rozchoruje.

— Oho! zaraz rozchoruje, zaraz ma być komedia? Zrobię zresztą jak chcecie, tylko mi nie gderaj.

— To odpowiedz że mu zaraz.

— Zaraz? — spytał Wiórkiewicz. — E, zaraz, tobym chyba musiał pisać, a piszę, no, nie osobiwie. Wolałbym już pojechać.

— To jedź, to jedź! — domagała się natarczywie Katarzyna.

Wiórkiewicz się namysłał, potem zadzwonił, a gdy to nie skutkowało, huknął z całej piersi:

— Franka! Franitu!

— Słucham, słucham! — zawołała pokojówka wbiegając z przyległego pokoju.

— Franka! — mówił Wiórkiewicz — powiedz Grzegorzowi, niech mi zawoła fiakra!

— Może *szpenera*? *)

— Fiakra! mówię.

— Bo *szpener* mógłby być prędzej.

— Co ta dziewczyna dziś zwaryowała, czy co?! — wrzasnął Wiórkiewicz. — Kiedy powiadam fiakra, to fiakra!

Gdy ofuknięta pokojówka wyszła, Wiórkiewicz zaczął szybko przechadzać się i medytować, nareszcie stanąwszy przed żoną, zagadnął:

— Jakby mu to przecie powiedzieć?

— O! wielka rzecz — odparła żona.

— Ba! tak to się zdaje — mówił zaambarasowany pan domu. Przecież ja muszę także uważać na swój honor. Łaski nam przecie nie robi, nie czekaliśmy na niego, a znowu trzebaby coś powiedzieć niby grzecznego.

— Powiedz — radziła małżonka — że kiedy on prosił o rękę Anieli, to my i jego także chcemy.

— Nie! — krzyknął Wiórkiewicz — Nie,

*) Wyraz ten uformowało pospólstwo lwowskie z wiedeńskiego: *Einspänner*, dla oznaczenia jednokonnej doróżki.

Kasiu, ty się nic a nic nie rozumiesz na polityce.

Wygłosiwszy tę sentencję, rzucił się w fotel, sparł głowę na rękę i myślał. Po chwili wstał poważnie i jakby z własnymi rozmawiał myślami, rzekł:

— Jakoś to gadają: jakkolwiek mam honor, wszelako... Nie, to bieda! Ot, ze swoim, tobym wiedział jak gadać.

— Ale nie płacz, nie płacz językiem, tylko gadaj jak umiesz.

— Czekałno, czekałno... Niech no sobie przypomnę słowo... Aha, już mam: *oferta*. A zatem oferta pana dobrodzieja, nad którą zastanawialiśmy się razem.. Nie, nie razem, wspólnie z małżonką, wydała się nam...

Zniecierpliwiona Katarzyna przerwała:

— Co ty pleciesz?

— Proszę cię Kasiu, nie psuj mi konceptu. Koncept ten jednak przerwała naprawdę pokojówka, która wbiegając nagle, zawołała:

— Proszę pana już zajechał!

Wiórkiewicz się obruszył:

— Małpo jakaś, czego tak wrzeszczysz?

— Gdzież ja wrzeszczę — mówię głośno.

Rozgniewany Wiórkiewicz kazał sobie podać palto i kapelusz, a tymczasem zwracając się do żony, ubolewał:

— Znowu ta małpa przeszkodziła, a był-

bym sobie ułożył paradny koncept. Nie, już teraz z tego nic nie będzie, namyśle się przez drogę.

— Rób jak chcesz, aby było zrobione — napominała żona.

— O! już kiedym powiedział, że jadę, to jadę.

Rzekłszy to, szedł ku drzwiom i znowu się wrócił, a cmoknąwszy, czemś niezadowolony, rzekł:

— Tylko to bieda, że znów Filipkiewicz będzie miał złość do mnie.

— Alboż ty jemu co obiecywałeś?

— Żeby tak akuratnie obiecywać, to nie, ale zawsze miał nadzieję, a ja nic na to, bo któż mógł myśleć, że się dla Anielki taki pan znajdzie?

Katarzyna uspokoiła skrupuły męża oświadczeniem prostem:

— Już ja sobie dam radę, tylko jedź.

Wiórkiewicz skinąwszy głową, wyszedł, a pani Katarzyna zwróciła się do pokojówki dysponując jej przygotowanie naczyń i sreber zapasowych z drugiego kredensu. Gdy Frania mimo upomnienia dwukrotnego, co ma zrobić, stała na miejscu, spytała Katarzyna:

— Czemuż nie idziesz?

— E, bo jabym pani coś powiedziała.

— To gadaj!

— Ale żeby się pani nie rozgniewała.

— Za co bym się miała gniewać?

— Kiedybo to idzie niby o państwo, a niby o pannę Anielę.

Katarzyna zniecierpliwiona tym wstępem, musiała zburzyć pokojówkę, która nareszcie powiedziała:

— To tak było: jak państwo pojechali na Bajki^{*)}, to przyszedł tutaj pan Filipkiewicz i chciał się koniecznie widzieć z panną, a że ja go meldować nie chciałam, był strasznie zły i niby to poszedł sobie, ale naprawdę nie poszedł.

— Bój się Boga! — zawołała Katarzyna — gadasz jak pijana.

— Ale bo to nie tak łatwo, bo... Nie, ja *taki* muszę od początku powiedzieć. Nie poszedł, jakem powiedziała z kamienicy, ale wdał się z Grzegorzem i kazał jemu, żeby on mnie...

— Kto taki?

— *Ta* niby Grzegorz, żeby mnie powiedział, a ja pannie, że ten pan Horodziej, to hołysz, szuja... Ale nie, ja nie mogę więcej powiedzieć.

— Głupiaś, przecież ty powtarzasz.

— *Ta* niby tak. Ale kiedy pani każe, to

*) Bajki, przedmieście lwowskie.

powiem. Mówił jeszcze, że po całych nocach romansuje z kawiarkami.

— Jezus! Marya! i ty powiedziałaś to pannie?

— Nie, jak Boga kocham, nie! Ja się chciała pani zapytać.

Wiadomość ta o rozsiewanem oszczerstwie wzruszyła panią Katarzynę. Nie wiedziała, jak sobie poradzić. Nie chciała wierzyć temu, zwłaszcza znając charakter Filipkiewicza, z drugiej strony jednak ogarnął ją niepokój i wątpliwości powstały w duszy. Przyszła jej wszakże na myśl lokatorka, pani Jadwiga i ucieszyła się tą myślą, jakby jakim odkryciem, we wszystkich bowiem wątpliwościach udawała się po radę i wyjaśnienie do tej lokatorki. Teraz mogła tembardziej liczyć na nią, bo wiedziała od córki, że Jadwiga znała dawno dom Horodziejów. Uradowana tem, odprawiła pokojówkę, pochwaliwszy za wierność i przeczność i miała zaraz pójść do pani Jadwigi.

XII.

W spełnieniu zamiaru przeszkodziła Katarzynie wizyta sąsiadki, pani kamienicznej, która wierna swemu zwyczajowi, ode drzwi już, nim weszła zupełnie i nim się przywitała, rozpoczęła donośnym głosem altowym:

— Co chłop, to szelma! ja to zawsze powtarzam i zawsze się sprawdza.

Pochwaliwszy w ten sposób hałaśliwy proce swoje spotrzeżenia, zbliżyła się pani Otylska do Katarzyny i zagadnęła:

— Jak się kochana pani ma? Nie był tu ten szachraj, ten bezbożnik?

— O kim pani mówisz?

— Ach! mówię o tym judaszu, o tym niegodziwym człowieku. No, wystaw sobie kochana sąsiadka szelmstwo ludzkie, to będziesz miała jego. A to zbój! pięknieby się był odwdzieczył za moje dobre serce.

— Ja nic a nic nie rozumiem — przerwała Katarzyna. O kogo pani idzie?

— Wcale mi nie idzie o tego szachraja... Ale prawda, pani nie wie... Mówię o Letkiewiczu, o tym szelmie! Jemu się zdawało, że już mnie kupił, dlatego, że klękał przedemną. Ale ja państwu dobrze życzę i powiem wszystko. Pozwoli pani usiąść, bo mi tchu braknie.

Usiadłszy i odetchnąwszy, zaczęła na nowo.

— To cała historia, to złodzieje te chłopcy!

— Ale kto i za co?

— I jeden, i drugi, i wszyscy! — wołała pani Otylska w zapale. I jeden i drugi: Letkiewicz i Filipkiewicz. Powiadam kochanej sąsiadce, zrobili intrygę i chcieli mnie także posadzić w to błoto. Ale niedoczekanie ich!

Ja tam nie wiem, co państwo zamysławicie z córką, ale coś musi być, bo Letkiewicz przyszedł dziś rano do mnie i śmieje się: Wie pani, mówił, państwo Wiórkiewiczze myślały, że złapali pana, a to, jak powiadał Filipkiewicz: hołysz. Potem chciał, żebym ja państwu powiedziała, niby pod sekretem, że ten pan, to dziad, karciarz i już nie wiem co. A potem miał przyjść Filipkiewicz i przynieść niby dowody.

— Matko Najświętsza! — zawołała Katarzyna. Jakaż to niegodziwość?

— Niegodziwość? — powtórzyła Otylska. To paskudztwo! to łotrństwo! Ja zawsze powiadam, chłopu nie wierzyć, choćby konał! I powiadają, że tylko baby robią plotki, a tu masz kochana pani. Ale ja zamiast z nimi, trzymam z państwem. Przyleciałam zaraz, jak tylko wyszli odemnie. A może te zbóje już byli tutaj?

Katarzyna odpowiedziała, że był tylko Filipkiewicz w czasie nieobecności jej w domu, na co odebrała od Otylskiej ostrzeżenie:

— Państwo też swoją drogą dowiedzcie się, co to tam jest z tym jakimś panem. Choć on pan, ale zawsze, chłopu dowierzać nie można.

Katarzyna byłaby teraz jak najprędzej rada pozbyła się sąsiadki, ażeby pójść do pani Ja-

dwigi i zasięgnąć szczegółów o Horodzieju, ale Otylska nie myślała się żegnać. Siedziała więc gospodyni domu zniecierpliwiona, gdy do salonu wbiegła Basia z pytaniem, czy zastała pannę Anielę. Katarzyna dowiedziała się od uczennicy Jadwigi, że nauczycielka jej w domu, uspokoiła się więc nieco, przyrzekając sobie, że pozbywszy się gościa, pójdzie tam zaraz i pogada.

Basię przysłała Jadwiga po kilka książek z tych, które pożyczyła przed kilku dniami dla ozdobienia stolika w salonie Wiórkiewiczów. Gdy Basia przerzucała książki, szukając tych, które jej poleciła przynieść nauczycielka, weszła ze swego pokoju Aniela, zebrana, jak do wyjścia.

Spostrzegłszy Basię, zagadnęła Aniela:

— Panna Barbara wie pewnie, czy pani Jadwiga miałaby teraz czas, żeby pofatygować się ze mną do księgarni?

— Zdaje mi się, odpowiedziała Basia, że pilnego zajęcia nie ma. O tej porze zwykle odpoczywa.

Otylska, posłyszawszy dźwięczny głos młodej panienki, nachyliła się do Katarzyny i spytała głosem stłumionym:

— Co to za kurczątko?

— Ciekawa to historia — odparła Katarzyna i zaczęły szeptać i kiwać głowami.

Aniela zbliżyła się do stolika i rozmawiała z Basią po cichu. Po chwili obie wyjść zamierzały, gdy przybył gość nowy. Był nim Hajdeburg. Skłonił się i szedł prosto do Katarzyny z zapytaniem:

— Raczy mi pani powiedzieć, czy zastałem pana Wiórkiewicza?

Rzekłszy to, dobył zegarek i patrząc na godzinę, dodał:

— Miałem polecenie być dziś i stawię się punktualnie.

Pani domu odparła, iż rzeczywiście małżonek jej byłby w tej chwili w domu, tylko nieprzewidziany interes odwołał go do miasta, prosiła zatem gościa, żeby poczekał. Hajdeburg jako niestrudzony i dobrowolny protektor stowarzyszenia, zagadnął znowu o niem, ale mówił tym razem, ażeby tylko o czemś mówić, w istocie zaś zwróciła jego uwagę młodziutka Basia. Wiedząc, że Aniela interesowała się wszystkim, zaczął z nią rozmowę, ażeby przypatrzeć się Basi. Aniela nie chciała być niegrzeczną i odpowiadała uprzejmie, pomimo, że wolałaby była iść, jak miała zamiar.

Pani Otylska usłyszawszy kilka szczegółów o stowarzyszeniu, o czemś więc znowu nowem dla niej, zagadnęła z ciekawości:

— Przepraszam pana, że wścibiam swoje

trzy grosze, ale co to za sprawa? Czy nie możnaby wiedzieć, jeżeli to nie tajemnica?

Hajdeburg roztargniony wrażeniem, jakie na nim sprawiła Basia, odrzekł dość zagadkowo dla Otylskiej.

- To tajemnica do rozgłoszenia.

Katarzyna wyraziła zdziwienie dla ciekawości sąsiadki, która odparła, że czytać wprawdzie nie lubi gazet, ale chciałaby wiedzieć przecie, co się w świecie dzieje.

Aniela pochwaliła tak chwalebłą ciekawość, na co pani Otylska z wielką szczerością powiedziała :

— No, widzi pani, widzi, że to chwalebne. Cóż, kiedy człowieka zbywają zawsze, bo ludziom się zdaje, że taka sobie prostaczka, wdowa bez opieki...

Przerwało jej dalsze wynurzenia wejście Jadwigi, która zniecierpliwiona dłuższem zabawieniem się Basi, weszła nie spodziewając się zastać towarzystwa. Pani Jadwiga skinąwszy wszystkim uprzejmie głową i postrzegłszy Anielę zebraną, zagadnęła :

— Pani wychodzi?

— Miałam wstąpić do pani, mówiłam o tem Basi.

W wtem zbliżył się Hajdeburg ku paniom, a na ukłon jego, rzekła Jadwiga :

— Pan widzę gorliwie pracujesz i zape-

wne znowu interes stowarzyszenia sprowadza go do pana Wiórkiewicza?

Powiedziawszy to, przeszła do starszych pań i usiadła na fotelu. Przysunęła się zaraz do niej pani Otylska i wskazując na Hajdeburga wodzącego oczyma za Basią, rzekła półgłosem:

— Łaskawa pani mówi o stowarzyszeniu, a niechno pani spojrzy, jak on skręca głowę za tą panienką. Pytałam się już tego pana i nie mogę dopytać.

Jadwiga uśmiechnęła się i zawołała głośno:

— Panie Hajdeburg, posadzają tu pana o zaniedbanie sprawy.

— Przepraszam najmocniej— odpowiedział zagadniony tak nagle. — Byłem zamyślony.

— Bodaj tak — szepnęła Otylska — chyba zadurzony.

— Pani Otylska — rzekła Jadwiga do Hajdeburga, zapytywała o rodzaj stowarzyszenia.

Hajdeburg zaczął wydobywać z kieszeń rozmaite papiery, ciągle jednak zapatrzony więcej w tę stronę, w którą się Basia poruszyła, a że teraz stała przy fortepianie dość obszernego salonu, było więc widoczne, że za nią się ogląda. W końcu wszakże znalazł szukaną broszurę i zbliżywszy się do pani Otylskiej, rzekł podając:

— Oto jest książeczka, która wyjaśnia wszystko.

Otylska przyjęła, spojrzała, odczytała tytuł, przerzuciła kilka kartek, znowu zaczęła od początku i zdawało się, że czyta z uwagą.

Aniela porozumiewszy się z Jadwigą o pomoc w wyborze dzieł, wyszła; Hajdeburg zaś zbliżył się do Jadwigi i gdy starsze panie zajęte były broszurą, on zagadnął Jadwigę o Basię, wyrażając domysł, że musi być jej opiekunką.

— Po trosze — odparła Jadwiga. — Zajmuję się jej wychowaniem.

Rzekłszy to, przeszła z nim do fortepianu i przedstawiła mu Basię, chwając jej pilność, poczem wróciła na dawne miejsce.

Basia podniosła swe fiołkowe oczy, spojrzała na młodego człowieka i znowu spuściła oczka, nie wiedząc co z sobą począć; ale Hajdeburg wybawił ją z ambarasu pytaniem:

— Czy pani często grywa?

— Jak można najczęściej — brzmiała odpowiedź.

— To musi być bardzo przyjemnie — dodał chcąc podtrzymać rozmowę.

— A pan nie muzykalny? — ośmieliła się Basia zapytać.

— Ja? — odrzekł technolog z uśmiechem — ja lubię muzykę.

Basia podniosła znowu oczy, tym razem już śmieiej i z pewnem zgorzeniem mimowolnem powiedziała:

— Pan lubi tylko muzykę? O, to za mało, trzeba kochać muzykę. Tak mię uczy moja droga nauczycielka.

— Pani Jadwiga? — spytał Hajdeburg.

— Ach, ona. Jaka ona dobra, jak ona kocha wszystko, co piękne i zacne! wymówiło dziewczę z zapalem.

— Masz pani tedy znakomity przykład, — rzekł Hajdeburg ujęty szczerością panienki. — Możesz być równie tak dobrą.

To niby sam na sam młodych osób przewał głos pani Otylskiej, rozlegający się szeroko po salonie, która znudzona lekturą, zawołała:

— Mój panie! to takie długie, że musiałabym kilka dni czytać.

— Zaraz pani służę — rzekł Hajdeburg, ale nie spieszył od fortepianu.

Jadwiga, siedząca tuż przy Otylskiej, wyreczyła młodego filantropa:

— Powiem pani — rzekła — w kilku słowach o co idzie: Chcą rzemieślnikom, ich wdowom, dzieciom i sierotom zapewnić kawałek chleba, kiedy będą opuszczone; chcą żeby nie potrzebowały łaski i miłosierdzia.

— Aha, aha! — mówiła pani Otylska,

niby to rozumiem. I to ten młody pan stara się o to?

— On, w imieniu wielu rozumnych ludzi.

Pani Otylska zwróciła się teraz z wielką atencją do Jadwigi i zaczęła rozmawiać głośno:

— A co, widzicie państwo? to nie głupie. Człowiek by nieraz mógł zrobić co dobrego, żeby było komu powiedzieć i nauczyć, jak to pani zrobiła. Czy wie pani, jejmość wydała mi się zrazu taka wielka dama, żem i gęby nie śmiała otworzyć, a tu pokazuje się, że pani jak cukierek słodka.

Jadwiga uśmiechnęła się na ten komplement dobrego serca i wezwała Hajdeburga, żeby do swojej listy uczestników zapisał i panią Otylską, pierwszego zapewne członka kobietę, ale dowiedziała się, że pierwszym członkiem świata niewieściego była matka Horodzieja.

— No, a teraz — oświadczyła zadowolona z siebie pani Otylska — ja, wdowa i mieszczanka. Ja sobie tak myślę: rzemieślnicy, to przecie krew nasza. Nie jeden zostanie majstrem, inny nie, jak Bóg da, ale zawsze krew nasza. Choć ja wdowa i żyję już tylko z kamienicy, ale dam co roku, ot choćby piętnaście guldenów.

Gdy Hajdeburg dziękował, dodała:

— Niechże pan przyjdzie do mnie po guldeny, tu, w sąsiedniej kamienicy. Ale — rzekła po chwili wstając — ja się tu zagadała, a tam dziś u mnie pierze w poduszkach przesypują... Trzeba iść, trzeba. Bądźcie państwo zdrowi. A pan przychodź!

Pani Katarzyna doczekała się nareszcie chwili, żeby pomówić z Jadwigą i dowiedzieć się prawdy o Horodzieju. Uszczęśliwiona wyjaśnieniami, czekała już tylko na powrót córki z miasta. gdyż teraz nie obawiała się żadnych plotek. Hajdeburg nie doczekawszy się Wiórkiewicza, pożegnał panie, wychodził jednak z obrazem w duszy nowym dla niego. Obrazem tym było młode dziewczę z błękitnymi oczyma.

XIII.

Rotulowski myślał już dwa dni nad własnymi słowami, które wyrzekł, żegnając Jadwigę. Powiedział: „Nie możemy się porozumieć, bo nie mówimy o tem, co nam na sercu leży“. Dziwną wydać się może rzeczą, myśleć przez kilka dni o własnem wyrażeniu się, a jednak tak było.

Nie mówili o tem, co im na sercu leży. Ale czemuż, gdy ona nie mówiła, nie mówił i on? Nie mówił, bo wiedział i czuł, że skoro by rozpoczął i zapytał, dlaczego Jadwiga nie

chce połączyć losu swego ze stanowiskiem, majątkiem i przyszłością jego, to usłyszałby to samo, co dawniej, może nawet więcej, bo teraz ona własną wolą, energią i pracą zapewniła sobie egzystencję. Gdyby zaś spytała, czy Rotułowski zmienił zapatrywania swoje, nie mógłby był odpowiedzieć szczerze, że tak. Na czem opierał twierdzenie swoje, że nie jest idealistą, nad tem nie zastanawiał się nigdy, jak i nad tem, że chcąc uchodzić w oczach ludzi za praktycznego człowieka, zyskał tylko opinię egoisty. Ale opinia świata nie obchodziła go, jak sam twierdził.

Widział jasno złe strony zarówno swojej, jak i warstw innych, pragnął ich naprawy lub poprawy, ale zbliżyć się do tych sfer innych nie chciał, bo zrażało go prostactwo, obskurantyzm i chciwość. We własnem otoczeniu zaś, jakkolwiek w ważniejszych sprawach działał odmiennie, jakkolwiek nie był rozrzutnym, nie opierał zdania swego na płytkich sądach — to znowu, ażeby nie być okrzyczanym za dziwaka albo reformatora, płynął na pozór z prądem. Nie brakło mu odwagi, ażeby mówić prawdę, nie brakło środków, ażeby wyrobić sobie wpływ, wytworzyć kółko ludzi poważniej myślących, a jednak nic z tego wszystkiego nie przedsiębrał. Ta bezczynność na szerszej arenie, oburzała go. Tysiąc razy po-

wtarzał sobie, że już jutro, pojutrze, za tydzień, za miesiąc rozpocznie działanie, a tymczasem, gdy przychodziła chwila działania, uciekał na swoje folwarki i... pocieszał się tem, że powiększając swój majątek, przyspiesza dzień swojej zupełnej niezależności.

Niezadowolony ze siebie, ze świata, gorzki, ironiczny, zdawałoby się, że sam nie wie, czego chce. W drobnych sprawach, w czynnościach życia powszedniego w istocie nadzwyczaj praktyczny, w większych trapiiony był ambycją i w głębi duszy pragnął zbyt szybkiego przeobrażenia stanu rzeczy, gdy przeobrażenie takie możnaby osiągnąć dopiero po latach pracy.

Takiemi dręczony myślami, przyszedł po kilku dniach odwiedzić znowu w hotelu Andrzeja, który zostawał jeszcze pod wrażeniem wizyty u Wiórkiewiczów. Andrzej Horodziej przygotował matkę do odwiedzenia domu mieszczkańskiego i prawie upojony miłością, czekał tylko chwili, w której miał jej towarzyszyć do Wiórkiewiczów, ażeby poznała Anielę.

Rotułowski zastawszy przyjaciela w usposobieniu wesołym, drasnął go zaraz złośliwą uwagą:

— Masz też być z czego kontent, że na śmietniku mieszczkańskim..

— Nie kończ! — zawołał gwałtownie Andrzej.

Rotułowski zmilczał, po chwili jednak rzekł innym tonem:

— Z tobą, widzę, już i żartować nie można.

— Owszem, byłem właśnie w najlepszym humorze. Ale niechże nie ja będę przedmiotem żartów, a jeszcze takich, które obrażają.

— Nie wiedziałem — rzekł Rotułowski obojętniej — że tak daleko już zaszło. Jesteś więc konkurentem formalnym o rękę panny Anieli?

— Jestem, jestem! nie sądź jednak, jakieś sądził, że tam tak czekano, że z nadzwyczajną radością przyjęto moją deklaracją?

— Komedya! — rzekł Rotułowski krótko.

Zamilkli obadwaj. Horodziej zaczął chodzić po pokoju, Rotułowski dobył cygaro i zapaliwszy, usiadł. Po chwili zatrzymał się Andrzej i zagadnął z uśmiechem:

— Czy twoje postępowanie, to nie komedya?

— Jakże, co? nic nie rozumiem.

— Ach! mój kochany, przecie nie powiesz, żeś przyjechał do Lwowa tylko w interesach gospodarskich. Sam się zdradziłeś, że kochasz młodą wdowę.

Rotułowski milczał dość długo, jakby się namyślał, poczem rzekł:

— O tem wiesz dawno, ale nie wiedziałeś, że przyjeżdżałem tu co roku kilka razy. A

wiesz po co? Przyznam ci się otwarcie. Myślałem zawsze, że spotkam przypadkiem panią Jadwigę, ale ani razu w ciągu trzech lat nie było takiego trafu. W tym tygodniu po raz pierwszy spotkałem ją, gdym poszedł w twoim interesie do pana Wiórkiewicza. Że było to spotkanie przypadkowe, któregom nie mógł przewidzieć, przyznasz zapewne?

— Ale dobrze, dobrze, chętnie przyznaję — odparł Andrzej. — Nie rozumiem jednak, czemu pragnąłeś tylko przypadkowego spotkania? Znając cię, jako człowieka woli, który nic nie chce powierzać ślepemu trafowi, nie mogę wyjść z podziwienia.

— Wyjdź jednak, bo takie było moje postanowienie.

— Czyste dziwactwo raczej. Kochasz albo nie kochasz panią Jadwigę. To rozstrzyga.

Rotułowski westchnął, nic wszakże nie odpowiedział. Zniecierpliwiony Horodziej rzekł na poły gniewnie:

— Nie myślę zdobywać gwałtem twoich tajemnic.

— Ach, gdybyś je zdobył, nie miałbym nic przeciw temu.

Rozmowę tę przerwał dzwonek. Do pokoju wszedł lokaj Andrzeja i zapowiedział wizytę pana Wiórkiewicza. Rotułowski skrzywił się, Horodziej kazał prosić.

Pan Wiórkiewicz wszedł zmieszany nieco, a ujrawszy i Rotułowskiego, uczuł się bardziej jeszcze, jakby nie w swojej skórze. Ale uprzejmość Andrzeja, grzeczność Rotułowskiego niemal uprzedzająca tutaj, ośmieliły go wkrótce. Kilka razy spojrzął z niedowierzaniem na Rotułowskiego, nie mogąc sobie zdać sprawy ze zmiany, jaką widział i czuł w zachowaniu się tego, jak go nazywał „dumnego pana“. Wiórkiewiczowi nie przychodziło na myśl, że obadwaj przyjaciele przyjmowali go tutaj, jako gościa, i że Rotułowski spełniał tylko warunki solidarności z przyjacielem i lubo nie sympatyzował z mieszczaństwem i z mieszczaninem, umiał jednak doskonale stosować się do warunków chwili i być uprzejmym dla każdego, gdy tego trzeba, lub gdy tak wypadało.

Z trudnością pewną, ale dość jasno tłómaczył pan Wiórkiewicz cel swego przybycia. Szło trudno dopóty, dopóki sobie przypominał układane w domu i przez drogę plany przemówienia, dopóki „honor“, „zaszczyt“, i t. p. wyrazy psuły mu to, co właściwie miał na sercu, ale skoro raz trafił na drogę szczerości, skończył krótko:

— Zresztą, panie dobrodzieju, co tam będę owijał w bawełnę. Pan dobrodziej mówiłeś otwarcie; ja się trochę, co prawda, nie spo-

dziewałem tego, ale żona mi mówi, że córka moja zgadza się, że kocha, toż i ja przyszedłem pomówić otwarcie. Czy tam ojcu, czy matce, zawsze idzie o szczęście dziecka. Jeżeli tedy pan ma szczere zamiary, no, to daj Boże szczęście.

Andrzej wysłuchał z uwagą i nietajoną radością tej decyzji. Wiórkiewicz przeproszał, że od razu nie mówił tak, jak dziś; potem rozmowa przeszła na inne sprawy, gdyż Rotułowskiemu przyszła chętka wybadania zapatrywań mieszczanina.

Wiórkiewicz znowu, jak mówił, nie obwijał w bawełnę, że zawsze niedowierzał panom, że uważa za lepsze, kiedy mieszczanie tak, jak on, umieją szanować swój stan i być dumnymi z tego.

Rotułowski przypomniał mu z uśmiechem jego opinię o rzemieślnikach, co nie bardzo miłe sprawiło wrażenie na Wiórkiewiczzu. Naciskany jednak przez zręcznego interlokutora, rzekł w końcu:

— E, panie dobrodzieju,— a zacząwszy to, oglądnał się dokoła — bo to widzi pan, tak między nami mówiąc, w tem młodem pokoleniu naszych robotników dużo fanaberyi, a mało pracy. Jak Boga kocham tak prawdę mówię, a ja znam swoich ludzi.

Charakterystyka ta, dość się podobała Ro-

tułowskiemu, który nawet w duchu pomyślał, że opinia ta mogłaby być śmiało zastosowana i do sfer innych. Zadowolony z otwartości Wiórkiewicza, powiedział mu kilka grzeczności, a ten odwzajemniając się, dodał:

— A zarozumiałe to panie, aż strach. I jeszcze co? nikt nie ujdzie ich posądzenia, nikomu nie wierzą, nawet własnemu bratu, coby tak samo przy jednym z nimi warstacie pracował. Ot, powiem panom, jakiś świat inny, kiepsciejszy.

Gdy przyszło do pożegnania, Wiórkiewicz przypomniał, że dziś wieczór dom jego spodziewa się wizyty Horodzieja z matką, a przy tej sposobności zapraszał, jak umiał najgrzeczniej i pana Rotułowskiego. Zaproszenie zostało przyjęte.

Zaledwo Wiórkiewicz był za drzwiami, rzekł Rotułowski:

— Pokazuje się, że i mieszczaństwo ma swoją arystokrację.

— Mnie się zdaje — odparł Andrzej, że on sądzi dość zdrowo i trzeźwo, tylko nie zna przyczyn owej pozornej ociężałości w pracy młodego pokolenia.

— A według ciebie, jaka jest przyczyna?

— Nie odpowiem ci stanowczo, rzekł Andrzej, ale domyślam się, że bieda jest tą przyczyną. Nędza ubezwładnia i jątrzy.

— Hm — być może — odparł Rotułowski, zamyślając się.

XIV.

Pan Wiórkiewicz powrócił do domu rozpromieniony. Wbiegł na pierwsze piętro swego domu jak młodzieniec. Wpadł do swego pokoju, stąd do pokoju żony, lecz nie zastawszy tam nikogo, wbiegł do salonu. Czekał tu na niego, powtórnie już przybywszy, Hajdeburg. Zastał tu i żonę, ale najpierw zwrócił się do gościa.

— Aha — rzekł zwracając się do Hajdeburga — pan na mnie pewnie czeka. Ho, ho — pamiętałem o tem, com przyrzekł. Ot, patrz pan, wstąpiłem po drodze do kantoru wekslowego, rozmieniłem akcye kolei Ludwika, żeby panu dać dwieście guldenów. Bierz pan i niech się wam powodzi. Ale, czekaj pan jeszcze trochę. Dobrze, żem pana zastał, bo proszę, żebyś dziś wieczór był u nas. Mamy gości, a że pan się zna z tymi panami, to właśnie dobrze. Cóż pan na to?

— Z przyjemnością służyć będę — odpowiedział Hajdeburg, a żegnając małżonków, pomyślał w duszy, że spotka się może znowu z panną Barbarą.

Gdy wyszedł Hajdeburg, Katarzyna zbliżyła się do męża chcąc go pytać o skutek wizyty.

Wiórkiewicz jednak rozpoczął zawziętą przechadzkę po salonie. Katarzyna chodziła przez chwilę za mężem, ale nakoniec zniecierpliwiona zastąpiła mu drogę i zawołała:

— Jakże tam poszło?

Wiórkiewicz odwrócił się w milczeniu i obrał inny kierunek i znowu chodził, gładząc wąs, lub poprawiając czuprynę.

Katarzyna zaniepokojona, powtórzyła manewr poprzedni i spytała:

— Możecie się pogniewali?

Wiórkiewicz chodząc ciągle, odpowiadał urywanemi zdaniem:

— Jesteśmy w największej przyjaźni... Ach, co to za ludzie, co za ludzie!.. Kasiu, powiadam ci, że jestem bardzo szczęśliwy... Ja myślałem... Ale co to... To całkiem inni ludzie.

Katarzyna nie rozumiejąc nic z tego wszystkiego, załamała ręce, co skłoniło Wiórkiewicza do zaniechania przechadzki. Stała i zawołała:

— Bodaj to z panami mieć do czynienia! Jak powie, to no! Jak poprosi siedzieć, ee! to całkiem nie to, co nasza wiara. A rozmowa tak idzie... Po prostu, wyciąga ci sam słowa z gęby! Aż się jaśniej robi w głowie.

— Człowieku! co ty pleciesz?— odezwała się Katarzyna, gdy mąż pozbył się pierwszego nawału myśli po doznanych wrażeniach.

Niezupełnie jednak wyłamał się, bo po chwili stając, zagadnął:

— Czy ty wiesz, co to jest kwestya społeczna?

— Jak mi Bóg miły, tak zwaryowałeś chyba. Słowa te jednak nie doszły do świadomości Wiórkiewicza; ciągle swoją myślą opanowany, rzekł:

— To tylko dowód, że Anielka miała rację! Ho, ho, to rozumna dziewczyna.

— W imię Ojca i Syna i Ducha! przeżegnała się głośno Katarzyna. Człowieku, co tobie jest?

— Co mnie jest? Prawda, do ciebie trzeba inaczej gadać.

Rzekłszy to usiadł i zaczął powolniej:

— Wszystko zatem jak najlepiej. Dziś tu u nas będą pan Horodziej, jego matka, jego przyjaciel. Nam się zdało, że on dumny. Ale co tam... Jakaśmy się rozgadali, pokazało się, że znowu nie taki głupi, i powiadam ci, umieli uszanować mój rozum. Widzisz więc, że poznali się na człowieku.

— Człowiekiem byłeś i bez tego, i nie o to idzie. Przecie pojechałeś, po co?

— Po to, żeby powiedzieć, że się zgadzam, aby pan Horodziej ożenił się z naszą Anielką. Jak to właśnie powiedziałem, już teraz nie wiem, ale wiem, że on był kontent,

że zgodziliśmy się na wszystko i jest jak najlepiej.

Katarzyna westchnęła i rzekła :

— Kiedy tak, to chwała Bogu!

— Chwała Bogu! a chciałaś mnie uczyć, jak gadać z panami?

— Bo przecie sam najwięcej wygadywałeś na nich. Zapomniałeś, czy co: A to nie czekaliśmy na niego, to znajdzie się swój, to na honor uważać...

— To, to, to, tamto — przerwał Wiórkiewicz żonie. Gadałem, bo między naszymi tak się gadało. Człowiek musi widzieć własnemi oczyma i dotknąć, aby coś poznać należycie.

Zamyślił się rzekłszy to a po chwili dodał:

— Kochać swoich zawsze będę, to się rozumie, ale zawsze lepiej z daleka, z daleka.

-- Z przyjaciółmi przecie, odezwala się na to Katarzyna — nie będziemy zadzierali.

— Zadzierać nie — odparł Wiórkiewicz, ale unikać można takich...

Nim skończył zdanie, wszedł do pokoju z wyrazem radości na obliczu pan Filipkiewicz i ledwo się uklonił, rozpoczął:

— Wiecie państwo, że już teraz faktycznie umarła moja ciotka. To zresztą dla niej szczęście, bo cierpiała biedaczka, a mnie rozwiązało ręce.

Wyłuszczywszy w ten sposób przyczynę swoich odwiedzin, zbliżył się Filipkiewicz do Wiórkiewicza i podał mu rękę, ten jednak umknął rękę za plecy i rzekł tylko obojętnie:

— Kłaniam się panu.

Zdziwiony Filipkiewicz, zaczął innym argumentem, mówiąc:

— Pan widzę nie słyszy, czy nie uważa, że jestem faktycznym panem kamienicy?

— Możesz pan mieć i dwadzieścia kamienic — odparł Wiórkiewicz i rozpoczął przechadzkę po salonie. Chodząc tak, dodał:

— Życzę panu i czterdzieści.

— Jakoś pan nie rad przyjaciółom. Tegom się faktycznie nie spodziewałem.

Wiórkiewicz zatrzymał się, a mierząc okiem Filipkiewicza, powtórzył:

— Przyjaciółom? przyjaciółom? Robiliśmy różne interesa, ale o przyjaźni nie było mowy.

Mężowi pomogła i Katarzyna, zwracając się z wyrzutem:

— Pan robił intrygi, czernił ludzi uczciwych, a gadasz o przyjaźni.

Filipkiewicz zaczął się wypierać, ale gdy Katarzyna powiedziała, że Otylska o wszystkim jej doniosła, odparł, że powtarzał to tylko, co ludzie mówili.

— Moja Kasiu — przerwał Wiórkiewicz

— szkoda o tem mówić. Wiemy już z kim mamy do czynienia.

— Zhardzieliście państwo — rzekł na to Filipkiewicz. — Ale co mi to szkodzi, ja jestem teraz faktycznie bogaty, łaski niczyjej nie potrzebuję.

— My także nie! — zawołał Wiórkiewicz.

Filipkiewicz namyślał się, jakby się zemścić za to przyjęcie, ale nie wymyśliwszy nic rozumnego, rzekł nakoniec z ukłonem:

— To upadam do nóżek jasnym państwu! O, jasnym — dodał, idąc ku drzwiom — od pożyczonej jasności.

Wiórkiewicz oburzył się i zawołał:

— Panie! ..

Ale Filipkiewicz był już za drzwiami, a gospodarz domu, zwracając się do żony, rozumował:

— No, słyszałaś Kasiu? I żyj tu z tymi ludźmi! Nie, dalipan, kocham swoich, ale wolę mieć do czynienia z panami.

XV.

Była godzina szósta po południu, w jesieni zatem późnej, niemal noc zupełna, gdy Rotułowski ubrany już na wieczór do Wiórkiewiczów, wszedł do pokoju Horodzieja, który zamyślał się przebrać dopiero.

Zdziwiony tym pospiechem Andrzej, zagadnął przyjaciela :

— Ty już gotów jesteś?

— Jak widzisz. Lubię dotrzymywać słowa.

— Wiem o tem. Ale to jabym właściwie powinien się spieszyć. Jestem prawie u celu moich marzeń.

Rotułowski uśmiechnął się na to i rzekł:

— Rozumiem jednak twój niepokój lepiej, niż ty sam. To wszakże ważniejsza, że nie mam ci już za złe twego wyboru. Uzyskasz spokój. Ach! spokój! — dodał z głębokim westchnieniem.

Horodziej uściskał serdecznie rękę przyjaciela i wszedł do drugiego pokoju, by się ubrać.

Rotułowski usiadł w fotelu przed stołem, na którym stało dwie zapalone świece i patrzył bezmyślnie na pozór w chłonący je powolnie płomień. Ale umysł jego nie spoczywał. Kto wie — myślał, — czy Andrzej nie lepiej robi, niż ja. Szukam, czekam, sam nie wiem na co.

Z chwilą wyznania tego przed samym sobą, oglądał się machinalnie. Myśli takich nie wyjawilby nikomu.

On szczęśliwy — myślał znowu, zwracając spojrzenie na drzwi, za którymi w drugim pokoju zbierał się Andrzej. — Cóż mię powstrzymuje od kroku stanowczego? Wszakże...

Dalsze słowo, wyrażającej się myśli w duchu stłumił Rotułowski i jakby niezadowolony, powstał i zaczął przechadzać się po pustym pokoju. Zbliżywszy się do okna, spojrzął na ulicę, oświetloną niedostatecznie bladymi płomykami gazu i zapatrzony, nie słyszał, że ktoś wszedł do pokoju z korytarza.

Przybyły powtórzył dwa razy, coraz głośniej powitanie swoje, nim Rotułowski usłyszał. Zwracając się od okna ku środkowi, rzekł niezwykle uprzejmie:

— Witam pana, musisz jednak poczekać, bo przyjaciel mój zajęty w tej chwili.

— Tym razem szukałem pana właśnie — odrzekł Hajdeburg, którym był gość niespodziany.

— A! to mnie zaciekawia — rzekł Rotułowski. I tutaj pan mnie szukałeś?

— Korzystam z czasu — rzekł na to młody człowiek. Dowiedziałem się w hotelu, że pan tutaj. Daruje pan mojemu natręctwu. Wiem, że masz pan duże gospodarstwo, że są w ruchu u pana ulepszone narzędzia rolnicze, otóż ja będąc właścicielem warsztatu mechanicznego, postanowiłem polecić moje usługi.

Rotułowski patrzył przez chwilę uważnie na Hajdeburga. Po chwili, wskazując mu krzesło, ażeby usiadł, rzekł:

— Powiem panu otwarcie, że mi się po-

dość to jego „korzystanie z czasu“ i usługi pańskie. w razie potrzeby, przyjmuję chętnie.

Hajdeburg podziękował niemym ukłonem.

— Powiedz mi pan jednak — mówił dalej Rotułowski — czy jest was takich wielu, którzy zaczynacie praktycznie odbierać chleb cudzoziemcom? Pan bowiem z obcym nazwiskiem.....

— Mimo obcego nazwiska — przerwał Hajdeburg — kocham tylko to społeczeństwo, dla którego dziś szczerze pracuję.

— Wiem o tem. Pytałem jednak, czy jest was wielu?

— Byłoby wielu, gdyby u wielu moich kolegów nie brała góry fantazya!

— Ma rację, wada charakteru narodowego — bąknął pod nosem Rotułowski.

— Przepraszam, nie dosłyszałem.

— To nic. Chciałem jeszcze o jedno zapytać i zapytam, jeżeli to panu nie sprawi przykrości, bo to stosunki rodzinne.

— Owszem, niech pan zapytuje, odpowiem szczerze.

— Ojciec pański?

— Nie był już Niemcem — odrzeł Hajdeburg. — Dziad jednak umarł nie umiejąc jeszcze słowa po polsku, ja zaś musiałem się uczyć z niemałym trudem języka niemieckiego. Dziś jedynem mojem życzeniem, ażeby

tych, którzy zależą odemnie, wyuczyć nie języka niemieckiego, ale niemieckiej wytrwałości, akuratności i choć trochę pedanteryi w wykonywaniu narzędzi, z którymi mają do czynienia.

Rotułowski milczał, ale w duchu powtarzał:

— Szczęśliwi ludzie, szczęśliwi! Mają cel w życiu i cel, przyznać muszę, piękny. Nawet ona, kobieta — myślał tak o Jadwidze — znalazła cel i zdąża do niego z wytrwałością. Ona więc wolna jest od tej wady, którą wytknął ten młody mechanik.

Łotem błyskawicy przemknęły te myśli w głowie Rotułowskiego. Gdy się zatrzymał na ostatniem pytaniu, powstał nagle, nie zdając sobie sprawy z czynności swojej. Czuł tylko wzburzenie w całym swoim jestestwie, musiał przejść się po pokoju.

Hajdeburg nie mógł oczywiście ani się domyśleć przyczyny urwania tej rozmowy, zagadnął więc po chwili z pewnem wahaniem:

— Może się łaskawemu panu wydało przesadą to, co powiedziałem o naszych rękodzielnikach? Przypominam sobie jednak, że masz pan o nich niepochlebne wyobrażenie.

— Nie! nie! — zawołał Rotułowski. Uznaję trafność pańskiego zapatrywania. Przypuszczam, że sądziłem uwiedziony pozorami.

— A może i na podstawie rzeczywistości — dodał Hajdeburg. — Ja nie mogłem przed

kilku dniami powiedzieć wszystkiego, gdyż nie byłem upoważniony. Bronilem tylko ich słabości, ich nałogu do wódki, bo ten ma źródło w głodzie wiecznym.

— Tak pan sądzisz?

— Niewątpliwie. Rękodzielnik nasz jest głodny przez całe życie. Żywi się wprawdzie obficie ale to obfitość siczki. Skoro stanie do twardej pracy, jest po kilku godzinach głodny i znowu napycha się otrębami, jak kasza albo kluski, najczęściej źle omaszczone.

Rotułowski chodził i słuchał. Usłyszawszy ostatnie zdania, uśmiechnął się znowu w duchu i pomyślał:

— To także kawałek reformatora. A ona, a pani Jadwiga? Nie, doprawdy, nie powinienem śmiać się z tego. Możem nawet powinien ją przeprosić.

Refleksye te przerwało wejście zebranego do wizyty Horodzieja. Powitał on uprzejmie Hajdeburga, ale dodał zwrócony do Rotułowskiego:

— Nam jednak czas w drogę.

— Ty zapewne pojedziesz z matką — rzekł Rotułowski.

Horodziej skinął głową.

— Do widzenia zatem u Wiórkiewiczów.

Gdy wychodzili z Hajdeburgiem, ten zawołał:

— Ach i ja mam zaproszenie. Polecę więc przebrać się coprędzej, skoro panowie takeście się pospieszyli.

Schodząc z pierwszego piętra w hotelu, wyraził Rotułowski życzenie udania się razem z Hajdeburgiem.

— Poczekam nim się pan ubierzesz, dowiem się gdzie pańska pracownia, a jutro, jeżeli pan pozwolisz, odwiedzę zakład pański.

Hajdeburg był tem niezmiernie uradowany. Dawno już myślał o tem, ażeby swoim zakładem zainteresować rolników, obecnie przypadek prowadził doń człowieka, który mimo kaprysów a może dziwactwa, znał się jednak na wartości spowitego w powijakach przemysłu krajowego.

XVI.

Wcześniej, bo już o godzinie piątej po południu zajaśniały światłem wszystkie pokoje państwa Wiórkiewiczów. Pan domu zarządził tym razem, odstępując od zwykłej oszczędności, że i sień na dole i schody oświetlone dziś były kilku lampami. Zwykle płonęły tam takie kaganki, że na gorszych nieco schodach możnaby połamać nogi. Oszczędzać bowiem na świetle, było słabością pana Wiórkiewicza. Dziś lokatorowie jego kamienicy błogo-

sławili tę uroczystość, o której przyczynie jedni, bliżsi, wiedzieli, a inni się domyślali.

Oficyna cała, mimo zimna listopadowego, znalazła się na ganku. Usiłowano koniecznie dojrzeć, co się tam dzieje na froncie. Kilka okien oświetlonych pokoju jadalnego Wiórkiewiczów, które dawały widok na podwórze, zapomniano zapuścić storami i okna te były dla mieszkańców oficyny, przedmiotem obserwacji. Widziano zdala, jak się uwijało kilku najętych posłańców, przebranych w czarne fraki, jak rozsuwano stół, znoszono naczynie, ustawiano butelki z winem na stole. słowem całą operacyę przygotowawczą do uczyty, obojętnej często dla jej uczestników, a stanowiącej przedmiot pożądlivości dla lokatorów uboższych. Pomiedzy zaimprovizowaną służbą mężką, przewijała się chwilami Frania, ażeby, spełniając polecenia pana lub pani, rozkazać jeszcze coś lub dodać ze szczegółów, potrzebnych do stołu.

Ciekawa oficyna widziała przez te okna, że kilka razy zmieniano na stole układ, że sama pani Katarzyna wchodziła, że potem wchodził tu i pan Wiórkiewicz, że się niby małżonkowie spierali, ale ostatecznie pani domu została i panią sytuacyi.

— Co to być może? — mówiły służące oficyny na ganku, zwracając się do pańien, które owinięte ciepłemi chustkami, wybiegały

także co chwilę. Ale nikt nie był w stanie wytłómaczyć tych manewrów. Nie wiedziała o nich nawet służba najbliższa, ani pan Wiórkiewicz. To bowiem małżonka jego poszła po rozum do głowy i biegała kilka razy do swojej lokatorki, pani Jadwigi, po radę, jak zastawić stół pokoju jadalnego. Nie więc dziwnego, że pani Katarzyna była tak pewna swoich zarządzeń, że i pan Wiórkiewicz musiał kapitulować.

Na ganku oficyny nie brakło i domysłów. Panie i ich służące bardzo poufale tym razem rozmawiały o „pannie“ kamienicznej, co dotyczyło się panny Anieli. Panie, zarówno jak służące, nie były wolne od wspólnej właściwości, którą była ciekawość. Że zaś służba podrzędna oficyny, miała stosunki z „panną“ Franią od właścicielki kamienicy, panie z oficyny chętnie słuchały wszelkich prawdopodobnych i potwornych szczegółów o gościach, na których przyjęcie nastąpiła taka iluminacya korytarza i schodów, i dla których przysposabiano tak ponętą dla oczu i podniebień ucztę tam, w kamienicy frontowej. Kasie i Hanusie z zawiniętymi po za łokcie rękawami, przebiegając przez ganek ręczyły, że pannie kamienicznej trafił się hrabia, inne mówiły, że baron, wszystkie jednak zgadzały się na to, że „wielki pan“. Ale, dodawały,

to nic dziwnego, bo panna Aniela dostanie ogromny posag.

Panna Aniela tymczasem siedziała w swoim pokoiku mocno zaniepokojona. Była już pewna uczuć Andrzeja, ale niepokoiła ją myśl, jak się przedstawi, jak podoba, i czy podoba się matce Andrzeja. Aniela miała się właśnie ubierać i powydobywała rozmaite, a dość sute przybory swojej garderoby. Matka radziła po mieszczkańsku i życzyła sobie, ażeby córka jaśniała tego wieczora nietylko urodą, ale i kosztownościami, których nie brakło w domu zamożnym. Projekta te jednak zburzyła wezwana do rady pani Jadwiga.

Zaproszona na tę konferencyę pani Jadwiga, widziała, że trzeba by stoczyć walkę z gustem i nawyknięciami pani Katarzyny, przystępowała więc do rady ostrożnie, w końcu rzekła:

— Czy zaufa mi pani zupełnie?

Katarzyna okazywała ufność, ale obstawała przy życzeniu, ażeby córka jej włożyła na ręce przynajmniej złote branzolety, i żeby ją uczesał fryzyer a nie pokojówka.

— Jak pani dobrze życzę, tak to niepotrzebne — odparła Jadwiga. Wie pani, już czas przystroić się i jej samej, proszę więc zająć się sobą, a mnie zostawić pannę Anielę.

Katarzyna wyszła z pewnem niedowierzaniem.

— Więc cóż pani radzi?—spytała Aniela, gdy zostały same.

Naprzód pochować proszę te jedwabie i wszystkie błyskotki. To, panno Anielo, na wieczór w kasynie; masz przyjąć w domu kobietę poważną, kobietę, która zna świat, a którą razi wszelka przesada.

— Więc jak pani radzi? — pytała Aniela powtórnie.

— Zaczynam od głowy: żadnej fryzury, największa prostota i to samo radzę w stroju. To złoto i perły, dobre dla starszych osób, schowaj pani także.

Aniela spełniała machinalnie polecenia swojej mentorki. Następnie zadzwoniła, a gdy weszła Frania, rozebrała się i w bieliźnie tylko usiadła przed zwierciadłem i kazała się uczesać jak zwykle.

Gdy rzecz najważniejsza, głowa, była już w porządku, wybrała pani Jadwiga z obfitej garderoby panińskiej Anieli jasną, prawie białą sukienkę wełnianą.

— To materya — rzekła — dosyć kosztowna i bardzo w moim guście. Jakże się tobie podoba, Anielo?

— To moja ulubiona sukienka—zawołała Aniela.

— Więc tem lepiej.

Jakoż rzeczywiście, panna Aniela ubrawszy

się, ślicznie wyglądała w tym pozornie skromnym stroju. Jedyną ozdobą głowy był kwiatek, wpięty ręką pani Jadwigi.

— Teraz nie pokazuj się pani wcześniej — rzekła Jadwiga — aż póki nie wezwą nas do salonu. Pójdź pani do mnie, teraz ja się wystroję, i przebiorę Basię, która czeka w mojem mieszkaniu.

Aniela zamknęła pokój swój na klucz i poszła na drugą stronę do pani Jadwigi.

Zastały tam Basię zajętą poprawianiem swojej sukienki, którą sama przyniosła z domu.

— Cóż tak medytujesz, Basiu? — zagadnęła Jadwiga wchodząc.

— Ach! — westchnęło młode dziewczę. — To moja najlepsza sukienka tak smutno wygląda, że...

— O, proszę nie wymyślać — przerwała Jadwiga. Bardzo dobra i bardzo ładna, zresztą taka, na jaką stać twoich rodziców.

Basia westchnęła znowu i nie odpowiedziała, ale nie uszło to baczności pani Jadwigi, odezwała się zatem powtórnie :

— Moja Basiu, pamiętaj, że mamy iść zabawić się, trzeba zatem być wesołą, a ty zbierasz się tak, jakbyś miała odbyć jakąś pokutę.

— Ale nie, jak panią kocham, jestem bardzo uradowana, — tłumaczyła się Basia.

A jakby na potwierdzenie tego, zaczęła coś nucić z cicha.

Jadwiga pozostawiła obie panny w pierwszym pokoju, sama zaś weszła do swego pokoju, sypialnego, ażeby także wystroić się na wieczór. Usiadłszy, zamyśliła się. Przelotny uśmiech przemknął po jej ustach. Następnie wstała i wyjęła z szafy suknię jedwabną koloru dzikiego. Przypomniała sobie, że w tej była sukni przed kilku laty, gdy Rotułowski powiedział, że ją kocha.

XVII.

Do salonu wszedł pan Wiórkiewicz w czarnym, niezbyt długim surducie i stanął naprzeciw lustra. Poprawił czuprynę, pogładził wąs a następnie oglądał się dokoła, potem zadzwonił, a gdy weszła Frania, dobył zegarek i patrząc nań, powiedział:

— Zawołaj Grzegorza, niech już pozapala świece w żyrandolu.

Gdy pokojowa chciała odejść, zatrzymał ją i dodał:

— Ale, nakaż Grzegorzowi, żeby mi nie wpuścił dziś ani pana Filipkiewicza, ani Letkiewicza. Dziś nie załatwiam interesów, przyjmuję tylko proszonych gości.

— Już Grzegorz wie o tem — odpowiedziała Frania i chciała znowu odejść.

— Ale, ale — zagadnął ponownie Wiórkiewicz.

— Ja bo nie mam czasu — burknęła Frania.

— Co to za gadanie? Masz czas mieć dla nas, nie dla kogoś. Rozumiesz?

— Rozumiem, no i co?

— Przyjdzie tu i pan Hajdeburg, tego niech prosi. Grzegorz go nie zna, ale ty go znasz.

— Aha, ten młody, z czarnymi wąsikami?

— Tobie tylko wąsiki w głowie.

— E, co pan tam gada. To jak mam powiedzieć, ten stary i brzydki? Kiedy on ładny.

— Niechże ci będzie ładny. Tylko pamiętaj jeszcze, że jakby kto wcześniej przyszedł, a pani nie była gotowa jeszcze, to poproś z przeciwka panią Jadwigę.

— Już mi to pani sama powiedziała.

— Masz tobie! — zawołał Wiórkiewicz klasnąwszy ręką o rękę. To już pewnie z góry myśli się spóźnić.

W tem odezwał się w przedpokoju dzwonek. Pan Wiórkiewicz drgnął i zawołał:

— Franiu! idź!... Albo nie, nie idź!

Rzekłszy to, zatrzymał się na środku salonu a w myśli z sobą odbył taką naradę:

— Gdzieś czytałem, że *dawniej* witano

gości aż od progu domu. Dawniej, to znaczy, że tak było u szlachty, bo o mieszczanach nie pisano jeszcze wtedy książek. Niech więc sobie będzie to przyzwoicie albo nie, po pańsku, czy nie, a *taki* zrobię, jak robiono dawniej.

Namyślawszy się w ten sposób, odprawił Franie po Grzegorza, żeby zaświecał resztę lamp i świec, a sam wyszedł do przedpokoju witać i otworzyć.

Równocześnie weszła z przeciwnej strony do salonu pani Katarzyna, a nie zastawszy tu nikogo, poszła także do przedpokoju. Tak więc przypadek zrządził, że gospodarz z małżonką witali pierwsi pierwszych gości, którymi byli Horodziej z matką.

Pan Wiórkiewicz pomógł, jak umiał najuprzejmiej zdjąć ciepłe okrycie pani Horodziejowej a potem nie namyślając się, powiedział coś o zaszczycie i honorze wbrew przyrzeczeniom samemu sobie, że tego nie wymówi, podał rękę matce Horodzieja i wprowadził ją do salonu.

Horodziej zagadnął Katarzynę o zdrowie panny Anieli, a uspokojony zapewnieniem, że zdrowa, jak rybka, wszedł za matką, którą poprowadzono do kanapy.

Pani Katarzyna była nieco zaambarasowana, nie wiedząc, o co by zagadnąć tę *panią*,

jak w duchu z naciskiem nazwała matkę Horodzieja. Wyręczył ją szczęśliwie sam Horodziej, zapytując:

— Pani Jadwiga podobno ma być także u państwa?

— Mieszka w naszej kamienicy — odpowiedziała Katarzyna.

— Będzie to dla mojej mateczki prawdziwa przyjemność.

— Radość, mój Andrzeju — rzekła matka. — Spotkałyśmy się w mieście i dała mi swój adres, ale nie mogłam jeszcze odwiedzić jej. Odwyłam od miasta. A pani Jadwiga, czy dawno mieszka u państwa?

— Od kilku lat, ciągle u nas — odparła Katarzyna. Ach, pani dobrodziejko, to anielskiej dobroci kobieta.

— Cieszy mnie bardzo taka opinia o mojej kochanej Jadwidze. Bo trzeba państwu wiedzieć że to moja jakaś daleka kuzynka. Ale gdzież córeczka?...

Pytanie to zwrócone do Katarzyny, zaniepokoiło ją, nie wiedziała co zrobić, gdy w tem drzwi od dalszych pokoi otwarły się i weszła naprzód Jadwiga, za nią Aniela, a na końcu onieśmielona trochę Basia.

Aniela nie była wystrojona tak, jak sobie zamyslała Katarzyna, ale mimo to, a może właśnie dla tego wyglądała ślicznie. Katarzyna

pokręciła wprawdzie głową, ale przypatrzwszy się dłużej własnej córce, musiała przyznać, że tak pięknie nigdy jeszcze nie przedstawiła się jej córka, na żadnym wieczorku, na które ubierała się według gustu modniarek i rady jej własnej. Cudu tego dokazała zalecona przez Jadwigę skromność i prostota.

Horodziej pobiegł ku niej i biorąc ją za rękę, chciał prowadzić do matki, uprzedziła go jednak Jadwiga, która czuła potrzebę gorętszego powitania ze starą kuzynką, niż ono mogło być na ulicy. Jadwiga bowiem przybiegła, uklękła, a nachylając głowę do kolan matki Horodzieja, całowała jej ręce i uroniła łez kilka.

— Jadwigo, moja droga — odezwała się matka, cóż znaczy ten smutek?

— Pozwól pani spłynąć łzom radości, nie smutku. Wspomnienie to rozstania z waszą okolicą, z wami. Pani jedna nie potępiłaś mię wtedy, gdy człowiek, który mówił, że mię kocha, poczytał mi za występek, lub przynajmniej za grzech wobec świata, moje przekonania.

— Wiem, wiem, Zygmunt — odparła matka. — On tu będzie, ale on zdziwaczał...

Przez cały ten czas pan Wiórkiewicz obchodził salon, poprawiał lampy, uśmiechał się i zacierał ręce. Basia stała sobie w głębi

przy fortepianie i czekała, ażeby znowu jak najprędzej znaleźć się u boku swojej nauczycielki.

Gdy przyszła kolej przedstawienia Anieli, matka Horodzieja podniosła się, wyprostowała i długo wpatrywała się w oczy młodej pani. Ucałowała ją potem w czoło i rzekła z cicha:

— Dobre oczy, poczciwe oczy.

Rzekłszy to usiadła i zwróciła się do Katarzyny, rozpoczynając z nią rozmowę w półgłosną.

Horodziej zbliżył się ku oknu, gdzie Wiórkiewicz znalazł znowu coś do poprawienia, a zbliżywszy się, ujął za rękę gospodarza i rzekł:

— Jestem szczęśliwy i dziękuję panu, żeś otwartością swoją ułatwił mi dalsze kroki. Jestem szczęśliwy nie dlatego, iżbym zależał od staruszki matki, ale dlatego, że panna Aniela potrafiła zdobyć od razu jej serce.

— Dobrze to panie dobrodzieju — rzekł Wiórkiewicz — ale to źle, żeśmy nie mówili jeszcze nic o posagu.

— Ach, dajcież państwo spokój — rzekł z uśmiechem Horodziej. — Nie starałem się przecie o posag, ale o rękę panny Anieli.

— No, to pan jesteś, jak Boga kocham jakiś inny człowiek. Bo u naszych, to zawsze

rzecz najpierwsza. Ale ja człowiek szczerzy i co mam w sercu, to na języku. Anielka jedynaczka; damy jej teraz całą gotówkę, a będzie tego ze trzydzieści tysięcy..

Wyliczanie to przerwało wejście do salonu Rotułowskiego i Hajdeburga, za co Horodziej był im wdzięczny niewymownie, bo stał jak na rozpalonych szynach.

Wiórkiewicz pobiegł ku drzwiom witać a równocześnie pani Katarzyna wezwała do herbaty. Matka Horodzieja z gospodynią poszły naprzód. Za nimi pobiegł znowu Wiórkiewicz i podał rękę matce, Horodziej Anieli, a Hajdeburg zbliżył się do osamotnionej Basi.

Gdy już wszyscy niemal byli przy drzwiach do pokojów przyległych, zagadnęła Jadwiga Rotułowskiego:

— Proszono na herbatę.

— Ja proszę na słowo — odparł zagadniony, nie ruszając się z miejsca.

XVIII.

Skoro się drzwi zamknęły za towarzystwem, które opuściło salon, rzekła Jadwiga:

— Możemy mówić.

— Czy raczysz mię pani posłuchać?

— Jeżeli sobie mamy co do powiedzenia.

— Ja, mam nie jedno — rzekł Rotułowski.

Jadwiga usiadła na kanapie i wymówiła na pozór obojętnie:

— Więc słucham.

— Pragnę wiedzieć — zaczął Rotułowski, czy ofiara moja, nie, źle mówię, czy propozycja moja, zrobiona przed kilku laty, była pani miłą, czy nie miłą?

— Na to panu nie odpowiem w tej chwili.

— Chwila taka jednak przyjść może?

— Nie wiem.

Rotułowskiego zaniecierpliwiła ta odpowiedź. Stłumił jednak w sobie wzburzenie i rzekł głucho:

— Chcesz mię pani chyba widzieć w domu szalonych?

— Cóż to za dzikie posądzenie?

— Wszakże pani wiesz, że cię kocham. Szaloną staczam ze sobą walkę, ażeby być zimnym na pozór. Pani się tem bawisz i...

— To kłamstwo! — zawołała Jadwiga, zrywając się nagle z kanapy.

— Przebacz pani, jeżeli ból piekielny pozbawił mię na krótko siły panowania nad sobą i nasunął dzikie posądzenie. Powiedz przynajmniej, czy wierzysz, że kocham?

— Wierzę, że kochasz, ale jak? Kobieta, której mówią, że jest piękna, znajduje wielbicieli. Czy to co dziwnego? Ale czemuż to, gdy kobieta ta sama odważy się mieć swoje

zdanie, gdy przy nim obstaje i stwierdza czynami, czemu traktuje się ją zaraz obojętniej? Ja, obstając przy swoim zapatrywaniu, nie myślałam wcale wyłamywać się ze sfery, zakreślonej kobiecie. Przeciwnie, tylko życie mię nauczyło, że właśnie w tej swojej sferze kobieta ma niezmiernie dużo do zrobienia. Paneś to poczytał za złe, pan poszedłeś za opinią głupich ludzi w okolicy...

— Pozwól pani — przerwał Rotułowski.

— O, nie przerywaj pan. Skoro mię zapytałeś, usłyszysz wszystko. Powiedz mi, czemu tak się dzieje, że, gdy kobieta w niedorzecznościach, kaprysach, głupstwach, chce mieć swoją wolę, ma ją i żaden z panów kochających nie protestuje? Ale skoro okaże swoje zdanie w sprawach ważniejszych, nie wdzierając się nawet w sferę waszą, panów świata, czemu wtedy, jak to jest od pewnego czasu między nami, rozpoczyna się walka? Czemu mężczyzna gotów kochać dalej, ale tylko bezduszne ciało, jeżeli piękne? Tak, wielu tak kocha, powtarza to, przysięga. Kocha więc kobietę, ale nie nawidzi jej duszy, jak tylko ona okaże ducha swego czynem, przekonaniem, wola, choćby ta wola skierowana była ku rzeczom świętym? I pan tak samo chyba kochasz, i nie wstyd ci takiej miłości?

— Pani mię równasz z całą zgrają ludzi nikiemnych — rzekł Rotułowski z goryczą. Ja pragnąłem właśnie porozumienia.

— Nie, nie! — odparła Jadwiga — nie robię żadnych porównań. Uważałam pana za wyjątkowego człowieka. Ale cóż, tak samo kochają w tej sferze, którą opuściłam, bo dusza moja wyrywała się ku czynkom dla ludzi biednych, zaniedbanych. Czy to ja winnam, żeś pan pozostał, jak mówi jeden z naszych poetów, nieruchomym na ojców kości? Ja weszłam w świat pracy dla pracy i starczyło mi czasu na starania o chleb powszedni i na to, ażeby podnosić innych sercem, wyrozumiałością, radą, nauką. Wieleż to dzieci pragnie dziś tej nauki. Największą rozkoszą są dla mnie te lekcyje, za które nikt mi nie płaci. Ale czyliż to tak wielka rzecz?

— Kobieto! — zawołał Rotułowski z zapalem prawdziwym — dla ciebie gotów jestem na wszystko.

— Więc tylko dla kobiety — odparła ze smutkiem Jadwiga, a dla jej duszy, woli i zdania, dla jej moralnej osoby — nic? nic? Jeżeli tak, to wolę, niech mi serce pęknie!

Podniecony temi słowy, przestawał Rotułowski w istocie być panem siebie i porywając ją w pół, zawołał:

— Ha! kochasz mię jednak.

— Kocham, ale nie zostanę twoją nigdy.

— Zostaniesz! bo choćbym miał usłyszeć znane ci już urągania naszej sfery, składam u nóg twoich moją wolę.

Rzekłszy to, ukląkł i przyciskał jej rękę do ust swoich.

— Złóż ją — mówiła Jadwiga — u nóg społeczeństwa, to mi wystarczy. Kochaj, jak ja kocham!

— Kocham — rzekł Rotułowski i z głębi duszy wołał: kobieto! zwyciężyłaś!

Jadwiga zarzuciła ręce na szyję kochanka i powiedziała cicho, dziwnie przeniknionym głosem:

— I ty zwyciężać zaczniesz, jeżeli umiłujesz serca bratnie.

Na scenę tę wszedł Horodziej z pokoju jadalnego z oznajmieniem, że niecierpliwą się tam nieobecnością przyjaciela i Jadwigi, a ona biorąc za rękę Rotułowskiego, rzekła:

— Przedstawiam panu mego narzeczonego.

Tuż za Horodziejem wszedł i Hajdeburg i zbliżywszy się nieśmiało do pani Jadwigi, rozpoczął ją wypytywać o rodzinę Basi; Jadwiga wszakże powiedziała krótko:

— Ojciec tej panienki jest szewcem.

— Co? — co słyszę? — zawołał Hajdeburg głośno.

— Jaktó — rzekła Jadwiga zdziwiona — to i pana uprzedzenia męczą?

A na to Rotułowski, napóły do Jadwigi i Hajdeburga zwrócony, powiedział dla siebie rzecz nadzwyczajną:

— Już my go wyleczymy.

Otrzymał za to spojrzenie tak pełne miłości, że mimowoli ujął znowu rękę kochanki i okrył ją pocałunkami.

Towarzystwu jednak za długo trwała ta nieobecność osób w salonie pozostałych i wszyscy przeszli tu nagle. Naprzód szedł pan Wiórkiewicz a za nim Franja z tacą uzbrojoną w pełne kieliszki wina. Gdy już wszyscy znaleźli się razem, Wiórkiewicz wziął kieliszek i zbliżywszy się do matki Horodziej, zawołał:

— Spełnijmy zdrowie matki najszanowniejszej!

Horodziej dodał wskazując na Rotułowskiego i Jadwigę:

I zdrowie przyszłego stadła! Gdy wszyscy zawołali: niech żyją! matka Horodzieja podniosła ręce, błogosławiąc.







19/2826/93

30000/

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

257347

Biblioteka WSP Kielce



0046272